

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXI

WARSZAWA, DNIA 15 WRZEŚNIA 1928 ROKU

NR 38

TREŚĆ NUMERU: Dziecko — *Z. Zaleska*. Z zagadnień krajowej i międzynarodowej opieki nad matką i dzieckiem — *Henryk Gołogórski*. Najtrudniejszy wiek — *Natalja Jastrzębska*. Poezje: „Dni dziecięce” — *Lucyna Krzemieniecka - Wolicowa*. Baby — *A. Fag*. Seminarzystka — *Zofja Sikorska*. Będzie im dobrze — *Wanda Borudzka*. Bambino — *l. j.* Z teatrów — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu — *j. k.* Umiejmy być wdzięczni — *N. J.* Estetyka wystawy sklepowej (c. d.) — *Helena Wolska*. Targi północne — *L. J.* Jabłka piegowate — *Stan. Schönfeld*. Suszone jarzyny i suszone owoce — *mar.-mor.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Robe - écharpe — *Well*. Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy” — *M. Benisławska*.  
Tablica kroju.

*Wobec rozpoczynającego się w d. 16 września „Tygodnia Dziecka”, niniejszy numer „Bluszczu” poświęcamy zagadnieniom, związanym z życiem i psychiką naszego młodego pokolenia, kładąc specjalny nacisk na rozwój młodzieży w wieku szkolnym.*

*Mamy nadzieję, że Czytelniczki nasze, tak często i ufnie zwracające się do „Bluszczu” w sprawach, tyjących się wychowania dzieci, znajdą w tym numerze sporo materiału do rozważań i wprowadzenia właściwych konkluzyj.*

## DZIECKO

Cały olbrzymi świat, otwierający się jedynie przed tymi, którzy z własnych serc czynią pomost nad przepaścią między światem dzieci i światem dorosłych. Świat, ogarniający i tych, którzy rosną w słońcu miłości, i tych, którzy... przyszli na świat nieproszeni. Świat, zaludniony przez krasnoludków i olbrzymów, zaśmiewający się beztrudnie i płaczący bezsilnie w głuchej grozie opuszczenia i krzywdy. Ogromny, nieznany tłum istot, dopominających się o swoje miejsce w życiu. Coraz głośniejsze o nim. Wprowadzili go do literatury Ellen Key, Lichtenberger, de Amicis, torujący w świadomości społeczeństwa drogi pedagogom, którzy wyrąbali je z trudem. Walczył o prawa tego świata Pestalozzi i jego następcy. Przyszedł wreszcie wiek XX — Stulecie Dziecka, wiek Kongresów, ustaw, przepisów, zaleceń... i wciąż jednakowej krzywdy bezbronnych, tych najbezbronniejszych!

Rodzina — jedyna instytucja, która dać może dziecku najlepsze warunki rozwoju, najczęściej ich nie daje. Dlaczego? Dla tysiąca przyczyn. Dlatego, że rodzice rozchodzą się bez względu na dziecko, które

ma prawo do nich obojga. I dlatego, że, nie rozchodząc się, czynią z domu „piekielko rodzinne”, w którego atmosferze ustrój nerwowy dziecka cierpi w okrutny sposób. Dlatego, że ojciec jest świetnym fachowcem, inżynierem, rolnikiem, adwokatem, doktorem itp. itd., ale wychowanie dzieci złożył całkowicie w ręce matki, która również nie czytała ani jednego dzieła wychowawczego i higienicznego. Dlatego, że, biorąc się do hodowli roślin, rozumie się potrzebę nauki ogrodnictwa i stosuje się skrupulatnie rady fachowców, bo inaczej roślina uschnie, nie zakwitnie lub da marny owoc — ale, biorąc się do wychowania własnych dzieci, nie widzi się bezpośrednich, namacalnych skutków ignorancji własnej. Dlatego, że ciężkie warunki bytu nie pozwalają na danie dziecku niezbędnych dla jego rozwoju fizycznego i duchowego warunków. Dlatego, że matka pracuje poza domem.

Dlatego, że rodzice nie poświęcają nic ze swego życia dla dzieci i dlatego, że, poświęcają zbyt wiele, czyniąc z dzieci egoistów.

Dzieko trzeba umieścić w słonecznym, tęcz pełnym gmachu Serca, aby rozwijało się, jak kwiat, ale pod czujnym okiem Rozumu. Trzeba mu dać to wszystko, co wynagrodzi mu krzywdę życia, bo ono się na świat nie prosiło.

Rodzina ma wobec niego obowiązki, które spełnia źle—z różnych przyczyn—ingeruje więc w te sprawy społeczeństwo, tworząc instytucje społeczne, i ingeruje państwo, tworząc ustawodawstwo ochronne. Mamy więc zakłady profilaktyczne i sanatoria. Profilaktyką są instytucje, które pomagają rodzinie w wychowaniu dziecka: żłobki, ochronki, kolonie letnie, poradnie pedologiczne, szkoły, poradnie zawodowe, ogniska i kluby dziecięce, organizacje — jak harcerstwo. Sanatoria—to już lecznice chorób społecznych: domy dla podrzutków i domy dla matek nieślubnych; zakłady dla dzieci-kalek i dzieci nienormalnych, dla sierot i opuszczonych. Profilaktyką jest ochrona macierzyństwa w ustawodawstwie; zakaz pracy dzieci w przemyśle, rzemiośle i handlu; przymus szkolny; zakaz pracy nocnej i pracy w gałęziach, szkodliwych dla zdrowia kobiet i młodocianych; ochrona zdrowia dzieci szkolnych i młodocianych; pracujących zarobkowo (lekarze szkolni i fabryczni, inspektoraty pracy i higieny).

Profilaktyką jest ustawa antyalkoholowa, mimo której mamy tysiące dzieci alkoholików, bądź zwyrodniałych, bądź zagrożonych obciążeniem dziedzicznym fizycznie lub moralnie. Profilaktyką jest walka z pornografią i handlem żywym towarem (raport d-ra Snow — eksperta Ligi Narodów, wymienia m. in. kilkanaście tysięcy dziewcząt białych w wieku do lat 14 w domach publicznych portów Oceanu Spokojnego), oraz z chorobami wenerycznymi.

I mimo tych wszystkich ustaw—mamy przerażający swą grozą obraz krzywdy dzieci. Mamy w Polsce około 200.000 dzieci, pracujących zarobkowo i to — jak dorośli — po 12 (nie 8 — ośmiogodzinny dzień pracy obowiązuje w teorii) godzin na dobę. Mamy pracę dzieci w gałęziach przemysłu, szkodliwych dla zdrowia (huty szklane, przemysł metalowy, drukarski). Mamy na taniości ich pracy opieraną kalkulację handlową całych działów produkcji. Mamy w przed-

szkolach (ochronkach i zakładach freblowskich) aż... 4,8% dzieci w wieku od 4—6 lat (66.603 na 1.386.264). Mamy w stolicy państwa setki dzieci bezdomnych, mamy „fabrykantki aniołków“ i przepis, że do jedyne go w stolicy domu wychowawczego dla niemowląt przyjmuje się tylko podrzutków, a na budowę domu dla matek z niemowlętami, opuszczonych lub nieślubnych, T-wo „Ratujmy Niemowlęta“ zebrało aż 17.000 zł. Mamy zakłady, gdzie dzieci dostają tylko jedną zmianę bielizny i w czasie prania muszą spać bez prześcieradeł. Mamy demoralizację dzieci przez bezmyślność i egoizm dorosłych, którzy wytworzyli niezdrową, rozerotyzowaną atmosferę społeczną i którzy są tak niedołąźni, że gnieźdzą się w przepelnionych lokalach, nie umiając zdobyć się na wielką akcję budowlaną. Mamy...

Dosyć! Idźcie sami do fabryk, do zakładów opieki społecznej, do suterren i poddaszy — wy, którzy na ulicy obserwowac nie potraficie! Zajdźcie do sądu dla małoletnich przestępców, do poradni pedologicznej. Spójrzcie na żebraków ulicznych: może zadrga serce, gdy spotkacie—jak ja przed rokiem na rogu Brackiej i Al. Jerozolimskich — żebraczkę z dzieckiem płaczącym, bo... miało do oka przywiązaną łachmanem skorupę od orzecha z pajakiem, który wżerał mu się w powiekę!.. aby płacz dziecka wzbudzał litość przechodniów. Zajdźcie do izb—4 metry wzdłuż, 2 w szerz—gdzie śpi po 7 osób dorosłych i dwoje dzieci, gdzie okno wychodzi na ubikację podwórzową, a podłoga gnije od wilgoci...

A potem... potem idźcie zobaczyć, jakich wysiłków dokonywują instytucje społeczne, by prowadzić tę profilaktykę, o której mówiliśmy: co zdołał zrobić Polski Komitet Pomocy Dzieciom, zakony katolickie w Polsce, co czyni państwo i samorzady. Wtedy będziecie dopiero wiedzieć, że obok waszych, sercem gorącym strzeżonych dzieci, rosną tysiące tych, które... mogą kiedyś nóż nad ich głowami podnieść w szale nienawiści, wyrosłej z poczucia własnej krzywdy.

— Dziecko—przyszłość narodu!—Frazes, jeśli wygłasza się to bez wczucia się, że oznacza nasze obowiązki wobec własnych i cudzych (tak!) dzieci.

Z. Zaleska



HENRYK GOŁOGÓRSKI

## Z ZAGADNIEN KRAJOWEJ I MIĘDZYNARODOWEJ OPIEKI NAD MATKĄ I DZIECKIEM

Od pewnego czasu opinia publiczna Europy Zachodniej interesuje się nader gorąco ruchem eugenicznym, czyli ruchem, mającym na celu poprawę rasy. Pewne objawy zdają się wskazywać, że i u nas ruch ten, potężniejąc, zacznie wkrótce wydawać owoce.

Ruch ten zasadniczo rozpada się na tyle odgałęzień, ile jest sposobów wpływania na poprawę rasy. Nas tu przede wszystkim zainteresuje opieka nad matką i dzieckiem, jako najistotniejsze i najważniejsze działy tego młodego, a tak już potężnego dziś ruchu.

### I.

Opieką nad dzieckiem i matką zajmować się winny z reguły samorządy, oraz instytucje społeczne; państwo zaś może się temi zadaniami zajmować jedynie w charakterze organu kontrolującego oraz subsydującego. Opieka nad dzieckiem, jeśli ma wydać należyty skutek, musi być nieprzerwana i trwać od niemowlęstwa aż do pełnoletności. Wskutek tego opiekę dzielimy na 4 okresy: 1) opiekę nad niemowlętami, 2) opiekę w wieku przedszkolnym, 3) opiekę w wieku szkolnym, 4) opiekę nad młodzieżą.

Zanim przejdziemy do rozpatrzenia metod postępowania wychowawczego w każdym z powyższych czterech okresów, należy kilka słów poświęcić sprawie międzynarodowej opieki nad dzieckiem, tu bowiem, na gruncie międzynarodowym, poraz pierwszy zwrócono uwagę na niesłychanie przygnębiającą statystykę porównawczą rozmaitych krajów w dziedzinie opieki nad dzieckiem. Kilka suchych cyfr oświeci tę rzecz lepiej, niż długie wywody teoretyczne. Naprzykład, stosunek ilościowy akuserek do powierzchni terytorjalnej, mający niesłychanie doniosłe znaczenie przy dążeniach do zmniejszenia śmiertelności noworodków, wynosi w Niemczech 1:2,8—czyli 1 akuszerka na niecałe 3 klm. kwadr., podczas gdy w Polsce 1 akuszerka wypada na 61,7 klm. kwadr. (Sic!) To jedno drobne zestawienie wystarczy dla stwierdzenia palącej konieczności międzynarodowego współdziałania państw i stowarzyszeń humanitarnych, celem możliwie szybkiego zniwelowania takich przygnębiających różnic, a przez to i odrodzenia całego rodzaju ludzkiego!

### II.

Pierwszą myśl międzynarodowej ochrony dziecka rzucono w Belgji w r. 1912, gdzie też wkrótce, w r. 1913, w Brukseli odbył się pierwszy zjazd mię-

dzynarodowy. Następny zjazd odbył się dopiero po wojnie w r. 1921, również w Brukseli, gdzie uchwalono utworzenie Międzynarodowego Związku Ochrony Dzieci, z siedzibą w Brukseli. Do związku mogą należeć nie tylko państwa, lecz także jednostki i towarzystwa prywatne, zajmujące się ochroną dzieci. Związek ten pragnie ułatwić studia nad zagadnieniem ochrony dziecka w najszerszym pojęciu i chce być łącznikiem pomiędzy wszystkimi, którzy się tą sprawą interesują (Prof. Zygmunt Cybichowski: „Prawo międzynarodowe“, Warszawa 1928). Artykuł 2-gi statutu Związku tak określa drogi, prowadzące do ochrony dzieci: „polepszenie doli moralnej i materialnej dziecka, zwłaszcza opieka nad niemowlętami; organizacja i ograniczenie władzy ojcowskiej i opiekuńczej; zabezpieczenie praw dzieci nieślubnych; zarządzenia przeciw żebractwu dzieci; utworzenie sądów dla nieletnich“.

Polska brała w obradach Związku brukselskiego nader żywy udział, a jeden z członków delegacji polskiej, sędzia Sądu Najwyższego, dr. A. Mogilnicki, został obrany wiceprezesem drugiego zjazdu brukselskiego. Wniosek o poddanie tego Związku Lidze Narodów drugi zjazd odrzucił wszystkimi głosami przeciw 4 głosom Anglii i trzech jej dominjów.

Jednak piąte zgromadzenie Ligi Narodów postanowiło w r. 1924 przekazać Lidze zadania, które spełniał dotychczas Międzynarodowy Związek Ochrony Dzieci. Naskutek tej uchwały Rada Ligi zreorganizowała utworzoną już dawniej Komisję Walki z Handlem Kobietami i Ochrony Dzieci. Komisja ta nosi obecnie nazwę „Komisji Doradczej Ochrony Dzieci i Młodzieży“ (Commission consultative pour la protection de l'enfance et de la jeunesse) i składa się obecnie z 2 komitetów: zadaniem jednego ma być walka z handlem kobietami i dziećmi, drugiego — ochrona dzieci.

### III.

Jak już zaznaczyliśmy, opieka dzieli się na 4 okresy, z których pierwszym będzie okres opieki nad niemowlętami. W dziedzinie tej naczelnym zadaniem jest kwestja zwalczania śmiertelności wśród dzieci. Ponieważ, jak statystyka wykazuje, śmiertelność wśród dzieci, karmionych sztucznie, jest o wiele wyższa, niż dzieci, karmionych naturalnie, stąd rzeczą zrozumiałą jest dążenie do zapewnienia dziecku naturalnego kar-

mienia piersią. Olbrzymie znaczenie ma tutaj opieka ustawowa, zabezpieczająca matce karmiącej szereg niezbędnych urządzeń fabrycznych (np. Ustawa o ochronie pracy kobiet i młodocianych z dn. 2 lipca 1924 w art. 15 nakłada na przedsiębiorcę, zatrudniającego więcej, aniżeli 100 kobiet, obowiązek utrzymywania dla nich żłobków dla niemowląt. Prócz tego „matkom karmiącym przysługuje prawo korzystania w ciągu godzin pracy z 2 półgodzinnych przerw w pracy, które wlicza się do godzin“).

Następnym etapem pracy wychowawczej będzie opieka nad dziećmi w wieku przedszkolnym, obejmująca dzieci od lat 2—6. Tutaj głównym zadaniem będzie zabezpieczenie dzieci od chorób zakaźnych, umożliwienie odpowiedniego leczenia i właściwego wychowania. Tutaj już nietylko rodzice zajmować się winni temi zadaniami, lecz właśnie organizacje społeczno-humanitarne okazują im znakomitą pomoc w postaci urządzania ochron, żłobków, stacyj opieki, oraz popularnych „kropli mleka“. Pierwszą ochronę założył w r. 1779 w Alzacji Oberlin, zaś pierwsza szkołka freblowska powstała w r. 1837, założona w górach Harcu przez Fröbla. Idea Fröbla wkrótce ogromnie się rozwinęła, zyskując mu, zwłaszcza we Francji, licznych przyjaciół, gdzie też zakładów tego typu znajduje się znaczna ilość. Jeśli chodzi o nasz kraj, to ilość tych zakładów nie jest powodem skarg, prędzej chyba poziom wychowawczo-techniczny, w jakim one się znajdują. Jest, bowiem, w Polsce ochron takich przeszło 28.000, a ilość dzieci, znajdujących tam opiekę, przekracza w chwili obecnej 360.000. Jak widzimy zatem, jest to ilość dość znaczna. Niestety, pomyślny ten stan przyćmiewa fakt, że ochrony nasze pracują często w opłakanych warunkach mieszkaniowych i zdrowotnych.

Etap trzeci oraz czwarty pracy wychowawczej, a więc: opieka w wieku szkolnym, oraz opieka nad młodzieżą—nie nasuwają specjalnie nas tutaj interesujących zagadnień. Jeśli chodzi o rozwój fizyczny młodzieży, to rolę swoją znakomicie wypełniają obozy harcerskie, oraz Przynależenie Wojskowe. Zwrócić należy tylko uwagę na znikomą ilość ogrodów

Rau'a, tudzież placów, gdzieby dziatwa szkolna znalazła konieczne dla swego zdrowia minimum powietrza.

#### IV.

Przechodzimy obecnie do kwestji niezwykle doniosłej zarówno z punktu widzenia prawniczego, jak i społecznego, mianowicie: jakie grupy dzieci wolno podporządkować obowiązkowej opiece?

Celem dokładnego wyjaśnienia pytania, należy przypomnieć ustawodawstwo familijne w starożytnej Sparcie, na którego mocy chłopców powyżej lat 7-miu odseparowywano od ich rodzin, formowano w oddziały napół wojskowe, poczem poddawano ich przymusowej opiece i wychowaniu państwowemu. A więc obywatela wychowywało państwo. Że system taki uznawano w starożytności za ideał — wystarczy powołać się na „Politiké“ Platona. Nie mając miejsca na obszerniejsze wywody (Jarra: „Idea państwa u Platona i jej dzieje“), stwierdzimy tylko krótko, że obecnie niema mowy o tem, aby państwo zajmowało się wychowywaniem swych młodocianych obywateli, posiadających dostateczną opiekę rodzinną. Zgodnie z tem wszystkie nowożytne kodeksy cywilne wypowiadają naczelną zasadę, że opieka nad dzieckiem należy przede wszystkim do rodziców. Tytułem przykładu zacytujemy art. 349 Kodeksu Cywilnego Królestwa Polskiego z r. 1825, do chwili obecnej obowiązującego w b. Kongresówce: „Po rozwiązaniu małżeństwa przez śmierć jednego z małżonków, opieka nad dziećmi małoletnimi, a nieusamowolnionymi, należy samem przez się prawem do pozostałego przy życiu ojca lub matki“.

A więc opiece państwa, względnie społeczeństwa, mogą być poddane tylko dzieci, pozbawione zupełnie lub częściowo należytej opieki familijnej (rodziców, względnie rady familijnej). Tu należeć będą różne kategorie dzieci: a) dzieci opuszczone (opuszczone przez rodziców, odebrane rodzicom na mocy prawa); b) dzieci występne; c) dzieci chore; d) dzieci ułomne, kaleki; e) dzieci niedorozwinięte („Encyklopedia prawa publicznego“ prof. Z. Cybichowski).

(dok. n.)



NATALJA JASTRZEBSKA

## NAJTRUDNIEJSZY WIEK

W mozolnem, lecz wdzięcznem zadaniu wychowania młodego pokolenia istnieje kilka okresów, a każdy z nich powinien mieć swoją specjalną metodykę wychowania, tak, jak ma już dziś metodykę nauczania.

Najtrudniejszą zaś może, zarówno dla nauczycieli, jak i dla rodziców chwilą jest czas zakończenia dzieciństwa — przechodzenia w wiek młodzieńczy.

Czas ten nie da się ściśle określić latami dziecka. U jednych zmiany w rozwoju, zarówno fizjologicznym, jak psychicznym i umysłowym, zachodzą dość późno; u innych — znacznie wcześniej, często nierównomiernie. Są, bowiem, dzieci nad wiek rozwinięte psychicznie, a zapóźnione w rośnięciu i rozwoju fizycznym. U jednych zmiany te mijają łagodnie i prawie niedostrzegalnie, u innych — przebiegają wprost niepokojąco. Zawsze jednak istnieją i trzeba poważnie liczyć się z nimi.

Każda wykształcona matka wie dziś, bądź z przeczytanych dzieł, bądź z zasłyszanych opinii, rozpraw wychowawczych itp., że przedewszystkiem okres pokwitania wywołuje duże przemiany.

Dzieci zdolne, pracowite, żywe i wesołe, stają się nieraz w tym czasie ociężałe, znużone, niekiedy zdają się zatracać pozornie nawet inteligencję; ogarnia je zniechęcenie do nauki, czasem melancholija, nawet manja samobójcza. Nie można postawić tego jako reguły, ale wielokrotnie zmiany te zarysowują się znacznie ostrzej u chłopców, niż u dziewczynek. U tych ostatnich jednak częściej występuje nie przygnębienie, ale przeciwnie, nadmierna intensywność żywotna, połączona z gorączkowym pragnieniem zabaw, ciekawością życia, książek, przy zaakcentowaniem d'ésintéressement do szkoły i nauki.

I nie jest to, jak twierdzą złośliwi, rozwój zwykłej kobiecej kokieterji i płytkość umysłu. Wcale nie. Te same dziewczynki w kilka lat później „kują“ zapamiętałe maturę i ani na chwilę nie spojrzą w stronę uwielbianych niegdyś powieści i rozrywek.

Do tego specjalnie okresu fizjologicznego i psychicznego rozwoju dziecka, pomimo, że istnieje o nim cała literatura, — rodzice i wychowawcy są jednak przeciętnie źle przygotowani i dzieci nie mają dobrych do przebycia go warunków. Rodzice często bardzo, uznając platonicznie wszystkie teorie naukowe, sądzą jednak, że po przebyciu ze swemi dziećmi trudnego okresu niemowlęctwa i pierwszego dzieciństwa, mogą lżej odetchnąć: mają już „odchowane“ dzieci!

Naturalnie, dba się o to, aby dziecko było dobrze odżywione, ubrane, miało higieniczne warunki, naukę

itp.; ale rodzice sądzą, że można już mieć z takimi dziećmi „swobodniejszą głowę“, niż z maleństwami.

Natomiast dziecku stawia się wtedy właśnie większe wymagania: jest już parę lat w szkole, nie jest maleństwem, powinno mieć rozsądek i pracować intensywnie i rozumnie!

Tak samo sędzi, widocznie, szkoła. Program bowiem klasy czwartej przeładowany jest nauką. A troska o rozwój objawia się chyba w tem, że lekcje śpiewu, z powodu przewidywanej mutacji głosów, są zaniechane!

Potem zaś, gdy dzieci przemęczone, niemogące nieraz, zarówno fizycznie, jak i psychicznie, dać sobie rady ze swym nowym rozwojem, wchodzą do klasy piątej wyczerpane umysłowo i nerwowo, — tworzy się teoria, że są to umysły, które wszystko biorą pamięcią! Do klasy czwartej uczą się dobrze, ale gdy przychodzi potrzeba percepcowania przedmiotów i przyswajania ich drogą analizy i krytycyzmu umysłowego, logiki i koncepcji twórczej — załamują się!

Nic dziwnego. Czy moglibyśmy wymagać od człowieka, zmęczonego dźwiganiem ciężarów, lub jakimś ćwiczeniem fizycznym, a jednocześnie przerabiającego trudne zadania umysłowe, — aby miał jeszcze umysł sprawny do przyjmowania nowych teoryj i rozwiązywania ich?!

Należy więc przedewszystkiem odciążyć programowo w szkołach te klasy, na które najczęściej przypada wiek przejściowy uczniów, choćby to stać się miało kosztem niektórych szczegółów, a nawet przedmiotów, lub ich zakresu.

Rodzice zaś nie powinni przerażać się, gdy dzieci uczą się w tym czasie trochę gorzej: nawet, gdyby zmuszone były powtórzyć klasę, będzie to mniejszym złem, niż forsowanie wbrew możliwości potencjalnej dziecka, które zawsze fatalnie odbija się na jego zdrowiu i umyśle.

Co się tyczy szkoły i wykształcenia dziecka, to sprawa o tyle się jeszcze komplikuje, że w tym właśnie czasie przypada często potrzeba decyzji o kierunku dalszego kształcenia; zwłaszcza, gdy dzieci zaczynają uczyć się gorzej, stroskani i zniechęceni rodzice nie wiedzą, czy zdecydować odebranie dziecka ze szkół, po skończeniu np. czterech klas, czy uczyć je dalej. Dzieci czasem nie wiedzą zupełnie, do czego mają ochotę; jeśli okres ten zaznacza się u nich przygnębieniem i pewnego rodzaju otępieniem, wydaje się im, że nie są zdolne do niczego; czasem przeciwnie, zaczynają objawiać gwałtowne i pozornie bardzo zdecydowane, a nieraz najfantastyczniejsze chęci i za-

miłowania. Wszystko to traktować trzeba spokojnie, pobłażliwie, a jednocześnie otoczyć dziecko najtroskliwszą opieką. Nic nie forsować, być zgóry przygotowanym na to, że w tym czasie te objawy u dzieci zachodzą i że są to rzeczy, wypływające z konieczności natury, a nie z winy dziecka. Pamiętać przytem należy zawsze, iż dziecko, dobrze, rozumnie w tym okresie prowadzone, nie dozna krzywdy, jeśli nawet pozornie straci czas: jeżeli bowiem będzie zdrowe i umysł jego wróci do równowagi, wynagrodzi napewno chwilowe załamania wzmożoną pracą i wejdzie w wiek młodzieńczy silnie fizycznie i umysłowo zrównoważone.

Nietylko jednak w szkole i sprawach kształcenia okres ten jest kłopotliwy. I nietylko u dzieci, które przechodzą go specjalnie ciężko. Nawet, gdy dziecko jest zdrowe, gdy inteligencja jego i chęć do nauki pozostają zupełnie normalne, a nawet wzmożone — stoją rodzice przed zadaniem bardzo skomplikowanym: kierowania psychiką istotki, przetwarzającej się z małego dziecka w starszą dziewczynkę lub chłopca. Jednocześnie mądrych i naiwnych, dziecięco ciekawych i, dziwnym, niemniej istotnym cudem natury — chwilami przedziwnie dorosłych!

W każdym szczególe życia dziecka, począwszy od nauki, a skończywszy na zabawie i ubraniu, zachodzą w tym czasie zmiany, i wszystko, cały system postępowania, musi być do nich przystosowany.

Największa rola i największe zadanie przypada tu matce, do niej bowiem dzieci mają jeśli nie największe, to najczulsze zaufanie, z nią najwięcej obcuja i ona z drobnych, pozornie mało ważnych szczegółów tworzy całokształt ich życia.

Matki powinny pamiętać o tem i przygotować się do wychowania swych dzieci w tym czasie niemniej, a może więcej starannie, niż do pielęgnowania ich niemowlęstwa. A tymczasem, jakże często dzieje się inaczej! — Przecież to nie maleństwo, nie potrzeba go tak pilnować! — mówią nieraz matki.

Całe zaś zadanie polega właśnie na tem, „pilnowaniu“.

Nie chodzi o długie, specjalne przemowy, pouczanie i moralizowanie, lecz o ciągle wglądanie w życie dziecka, wczucie się w jego psychikę. O najbaczniejszą obserwację i gotowość natychmiastowego reagowania, przyjscia z pomocą w chwili zmęczenia, zniechęcenia; rozstrzygnięcia wątpliwości, wyjaśnienia jakiejś zagadki, dania nauki i wskazania drogi wyjścia z trudności.

Zapewne, że wobec wzmożonej obecnie tak, że prawie powszechnej, pracy zawodowej kobiet średnio zamożnych, matka nie może być z dzieckiem nieustannie. Ale też nie jest to konieczne. Chodzi tylko o to, aby zwrócić w tym okresie na dzieci baczną uwagę, nie łudząc się tem, że nie są już małe i że nie potrzebują tyle opieki i starania. Okres ten, z jednej strony tak trudny, z drugiej — posiada jednak wła-

ściwości, otwierające niezmiernie szerokie pole do pracy wychowawczej.

Dziecko naogół zaczyna jednak szerzej i więcej pojmować siebie i otoczenie i to nawet wtedy, gdy mniej okazuje chęci do nauki. Można z niem rozmawiać, często już, jak z dorosłym niemal, trzeba tylko zdobyć jego zupełne zaufanie. Na tem zaufaniu w całokształcie wychowania zawsze, ale w tym okresie specjalnie, wszystko się opiera. Bo łatwiej jest małcowi wyznać drobne przekroczenia łakomstwa lub psoty, niż starszej dziewczynce lub chłopcu poruszyć jakąś drażliwą kwestję z psychiki własnej, lub otaczających faktów. Rzeczy te, przemilczane, urastają w młodym umyśle do rozmiarów tragedji; przedyskutowane z rozumną matką, wyjaśnione i oświetlone przez nią — nie będą ciążyły na młodem serduszk.

Drażliwe sprawy uświadomienia, bardzo często występujące w tym czasie u dzieci załamania na tle religijnem, dziesiątki wrażeń, wypływających z obserwacji otoczenia starszych, a przede wszystkim zmiany, zachodzące w ustroju i usposobieniu własnem — ze wszystkim tem dziecko nie może dać sobie rady, i na wszystko musi wspólnie z niem znaleźć radę matka.

Sam sposób postępowania z dziećmi w tych latach jest także niezmiernie ważny i trzeba zbadać go teorią i praktyką, obserwacją i doświadczeniem. Jedne dzieci są nadmiernie drażliwe, czułe — inne znów pozornie zdają się obojętnie dla najkochańszych nawet rodziców.

Z jednymi przyjęty być musi sposób postępowania wyjątkowo łagodny, czuły i pieśczośliwy — inne, przeciwnie, traktować należy jaknajpoważniej, serdecznie, ale bez pieśczozy i roztkliwiań.

Każda matka powinna więc już od wcześniejszych lat życia dziecka myśleć o tym okresie i przygotować się do niego: czytać, obserwować, a przede wszystkim przemyśleć te sprawy poważnie, posiłkując się wspomnieniami własnymi i charakterystyką porównawczą usposobień, biorąc pod uwagę charakterystyki obojga rodziców, kwestje dziedziczności usposobienia, zdrowia, warunki życia, zarówno moralne, jak materialne i przede wszystkim — psychikę własnego dziecięcia, którą znać gruntownie, rozumnie i bezstronnie jest jednym z jej najważniejszych obowiązków.

Zadanie to wymaga dużo pracy nad sobą, gruntownego przygotowania, dużo sił i czasu, ale matka, która je spełni, mieć będzie najwyższą nagrodę. Dzieci jej wejdą łatwo w okres młodzieńczy, zdrowe i radosne, a jednocześnie ukształtuje się wtedy stosunek ich do matki na cały ciąg jej życia. Bo często najukochańsze dzieci, pieśczochoy, stają się później obojętnymi „dorosłymi“ dla rodziców, odchodząc od nich sercem i umysłem, pomimo materialnego obcowania. Lecz te, których serce i umysł zrosły się z matką wtedy, gdy się ludźmi stawały, pozostaną przy niej nazawsze.

## DNI DZIECIĘCE

*W waszych oczach, rozedrganych miłością,  
istniejemy, istniejemy uparcie.  
Wykwitamy najczulszem marzeniem  
pod serc waszych purpurową strzechą.  
Wyrastamy w godzinach poczyń  
przebolesnem, najświętszem starciem,  
jako źródło wody ożywczej,  
strumień modro-różowych uśmiechów.  
Potem świat nasz jest białym kwadratem  
jest maleńką, nienazwaną pieluszką,  
szytą ręką matczyną sekretnie  
w noc, w których nic mówić nie trzeba.  
Najpewniejsze bezpieczeństwo spojrzeń  
wypijamy, wypijamy duszkiem.  
Otulamy się na życie najdłuższe  
w drogie ciepło najcichszych kolebań.  
W naszych ustach, w niezliczonych ustach  
pierwsze słowo jest zawsze to samo.  
Pierwsze czucie jest zawsze jednakie  
śród ocz naszych zadziwionych przymrużeń.  
Mieszka cichość, anieli mieszkają  
w wielkim gmachu, w małym słowie: mamo!  
Mieszka jasne, koronkowe szczęście  
w pierwszych krokach naszych długich podróży.  
Dni dziecięcych różowe policzki,  
dni dziecięcych długie blond warkocze  
zaplatają się, zawiązują nadzieją  
na późniejsze, najczarniejsze noc.*



A. F. A. G.

1)

## B A B Y

Dojrzała w nim ta anomalja na tle niedowarzonego pomysłu starszego brata Józkowego, który w 23-im roku życia puścił sobie kulę w zapalony łeb. Desperacja najpierwszego zawodu miłosnego była korzeniem i źródłem tego szalonego finału. Wyprowadzony tym ciosem z równowagi psychicznej ojciec samobójcy, człowiek tępy i zacięty, przerobił w sobie całą boleść i rozpacz po stracie syna w gniew i nienawiść dla pierwiastka kobiecego w świecie. Nienawidził kobiety napięciem rasowej nienawiści. Z uporem manjaka wynajdywał jej przestępny współdział we wszystkich zbrodniczych sprawach tego świata. Rechocąc z zadowolenia, opowiadał o tem, do czego kobieta doprowadziła Feliksa Faure'a, Lassalle'a i porucznika Synatjewa z 42-go pułku piechoty, który zakochał się bez nadziejnie w żonie miejscowego lekarza i z rozpacz zaczął pić. Całe zło życia, rozproszone wśród różnorodnych dróg, ścieżynek,—ładował bezapelacyjnie na plecy kobiety i w tym duchu wychowywał swego syna.

Stąd w Józku, ojca swego wiernym towarzyszem, wychowała się dla kobiet wzgarda nieograniczona. „Baby!”—sepleniał nienawistnie, piastując urząd ucznia klasy 3-ej „a” gimnazjum Czerkaskiego i zaciągając się podczas pauzy cuchnącym papierosem. Tym najobelżywszym z pośród epitetów obdarzał tchórzów, którzy się nie mogli zdobyć na palenie tytoniu.—„Baby!”—maltretował malców z niższych klas.—„Baby!”—docinał żabom i lizusom, podporządkowującym się nakazom szkolnego rygoru. Było to słowo najobraźliwsze, które pod jego wpływem w krótkim czasie inkorporowane zostało do gwary klasowej. A miało wartość najcięższej zniewagi. Uraczenie się niem pociągało za sobą dla solidnych trzecioklasistów bezwzględny obowiązek pokrwawienia sobie nosów i podbicia oka. Był też nauczyciel pewien, „baba” ochrzczony, geograf, młodziutki jeszcze belfer, lalus wycakany, błyszczący napomadowaną głową, elegancki, czyściutki i pachnący, znieprawiony za to wszystko przez klasę. Nienawiść chłopców nie znała litości. „Babie” wyprawiano najstraszliwsze kawały. Smarowanie krzesła tłuszczem, strząsanie na jego plecy atramentu ze stałówek,—należały do najlepszych, powszednich i obowiązkowych. Śpiew chóralny, wykonany po mistrzowsku pod batutą Józka, w czasie jednego z wykładów geograficznych, omal że nie pociągnął za sobą smutnych konsekwencji „wylania” całej klasy. Surowszą jeszcze była pogarda chłopców, gdy sąd ich zaciążył na jednym z kolegów.—„Baba!”—orzekała klasa, gdy zaszedł czyn wybitnego tchórzostwa, lizusserji, lub złamania solidarności klasowej.

Zbytecznym dodawać, w jaki sposób Józiek traktował „gęsi” pensyjne, wobec których przydomek „baba” nabierał dopiero właściwej soczystości i barwności. To też tem dziwniejszem mu się wydało, gdy w drugim półroczu 4-ej klasy spostrzegł, że sporo kolegów tym „babom” pensyjnym wiele czasu poświęca. —„Baby!”—mruzczał opryskliwie, spotykając ich na lodzie lub w parku, potem na łódkach i w kąpieli. Nie było to, jak dawniej—chłopcy z chłopcami, koledzy z kolegami, jak się patrzy, po męsku, należycie! Wszędzie natomiast spotykał pary. Taki dzielny, mocny chłop, palancista zawołany — a tu nagle, włócił się u boku jakiejś Zosi, w brązowym mundurku, smarkatej, głupiej i niezgrabnej! I jeszcze: „pano Zosiu, może pani pozwoli!” — „Baby!” —myślał Józiek z nienawiścią, gdy zobaczył, że „baby” zabrały mu również najlepszego przyjaciela — Władka, towarzysza ławy szkolnej od podwstępnej klasy. Zjawiała się jakaś krótkowłosa gęś—szust-frust—i Władek zapadł. Nie było go wcale, zupełnie, ani do palanta, ani do pływania. Zniknął, zginął, zapadł się pod ziemię. Kupił sobie małe kieszonkowe lustro i grzebyczek. Przeglądał się w niem po lekcjach i żegnał natychmiast po wyjściu ze szkoły. Na pytanie: „dokąd idziesz?” odpowiadał różnorako: lekcja muzyki, interes dla ojca na pocztce, odwiedziny u chorej ciotki—po czem zniknął.

Józiek nawet usiłował wypowiedzieć temu świętą wojnę: „Kto chodzi z babami, sam jest babą” — oświadczył w czasie pauzy. Hasło to jednak nie znalazło oddźwięku.—„Oho! Jaki ważny!”—krzyknął ktoś z końca ławek. Józik okazał się osamotniony. Skapi tułował, obiecując sobie jednocześnie wykreślić raz na zawsze baby ze swego życia.

### II

W piątej klasie nastąpił przewrót. O „budzie” i lekcjach nikt nie myślał. Narówni z setkami innych miast rosyjskich krwawe języki rewolucji liznęły i utarte, uleżałe życie Czerkas. Wszystko dotychczasowe poszło do diabła. Miasto co 3 miesiące przechodziło do rąk innych władz. Atamani zbójcecy, biali i czerwoni, odwiedzali je co pewien czas, paląc, rabując, mordując żydów. W tym to czasie wypadło Józkowi w życiu swej rodziny odegrać rolę nie byle jaką. Zamiast łacińskich deklinacyj i logarytmów, zajął się całkiem inną sprawą.

Była to chwila, gdy komunikacja wewnątrz imperjum rosyjskiego ustała całkowicie. By się przedostać z miasta do miasta, należało mieć z partji komunistycznej urzędową „komandirówkę”. Pociągi osobo-



we nie kursowały. Dlatego między poszczególnymi miastami różnice cen sięgały niebывałych rozmiarów. Szczególnie, gdy chodziło o obce waluty, albo też najróżniejsze wewnętrzne rosyjskie walory, odchylenia te dochodziły do kilkuset procent. Na tej kalkulacji szereg ludzi oparł w owych czasach wszystkie swe źródła utrzymania.

Było to z pozoru proste: w Czerkasach karbowance kosztowały jakie 5, 6 razy drożej, niż w Odesie; kupić w Odesie, sprzedać w Czerkasach—jasne to, jak Boży dzień. Ale... jak się dostać do Odesy? Jak wrócić do Czerkas? Bilety, pociągi, dokumenty, rewizje czerwonogwardzistów, rozsianych po stacjach, bandy, napady, grabieże... Jednak ludzie się zdecydowali. A do zdecydowanych należał właśnie Józek. Ojciec, który sam nie zarabiał, dał mu z resztek 100 dolarów. Józek po każdej podróży przynosił 200—250. Odpoczywał w domu, opowiadał i znowu jechał. Była to praca ciężka, straszliwie niebezpieczna, która wykonywana być mogła tylko przez młodych chłopców; oni, bowiem, najłatwiej kombinowali na pociągach, najmniej wzbudzali podejrzeń. To też, prócz Józka, jeszcze kilku innych chłopców z Czerkas uprawiało systematycznie ten sam proceder.

Była to jednak droga, którą kroczyć mogli tylko najdzielniejsi. Nieraz trzeba było przebywać setki kilometrów, stojąc na stopniach, leżąc na dachach wagonów, bez krzty pożywienia w ustach, nie myjąc się w ciągu tygodnia, kombinując z pociągu na pociąg, marząc w czasie przejazdów lub postojów, smarując łapówką konduktorów, zwodząc czekistów dokumentami, nieposiadającymi w istocie żadnej wartości, no i nie tracąc ani na chwilę zimnej krwi. Józka raz już prowadzono do „czeka“, a jednak w ostatniej chwili potrafił się wysliznąć.

Przybycie do Odesy też nie oznaczało kresu pracy i wysiłków. Trzeba było załatwić sprawy handlowe, sprzedać, kupić, zamienić, a potem dosłownie w ciągu kilku dni, wypatrując powrotnej komunikacji, włóczyć się po mieście. W hotelach pokoju bez „komandirówki“ nie wynajmowano. Czasem tylko portjer, za słone pieniądze, pozwalał gdzieś się przespać pod derą, na gołym materacu. Znajomych żadnych. Kole-dzy Józka uprzyjemniali sobie pobyt, jak mogli. Szli do dziewczynek na całe noce.

— „Chodź z nami!“ — proponowali serdecznie, — „mamy takie jedno miejsce: czysto, tanio i wcale ładne dziewczynki.“



ZOFJA SIKORSKA

## SEMINARZYSTKA

(z cyklu „Pobyt na prowincji“)

Seminarjum było bardzo biedne. Mieściło się w starym, skołatanym budynku miejskim. Przytulone do dzwonnicy, łączyło się przez nią ze starym kościołem i klasztorem. Było tak ciasne, że obejmowało tylko pięć sal wykładowych i małe gabinet przyrodniczy. Nauczycielki i dyrektor musieli ulokować się opodal w budynku klasztornym.

Panowała tu już inna atmosfera. Grube mury wydzielały przejmującą wilgoć, która w pewnych chwilach łączyła się z przedziwną, kadzidlano-nabożeństwową wonią. Miało się wrażenie prawdziwego kościoła. Bo też wystarczyło przejść wąski korytarz, uchylić ciężkich drzwi, by znaleźć się w kościele.

Wczesnym rankiem jesiennym lub zimowym rozpściarał się tu szary mrok, przetkany złotem pełganiem świec przy ołtarzu. Pod ścianami, przy drzwiach, klęczały nieruchomo uczennice, po dwie, po trzy, albo też zgół samotnie.

Po nieznanym nikomu obrachunkach z Bogiem następował śpieszny znak krzyża, poczem wysuwały

się na ulicę i wstępowały w twarde szranki dnia szkolnego. Jakże trudno poznać psychikę dziewczynki w klasie!

Najpierw jest masa, zbiorowiskiem kilkudziesięciu par oczu, wlepionych w jeden punkt: w nową nauczycielkę. Wtedy narzucają się uwadze szczegóły tylko podrzędne, zewnętrzne. Ławki proste, niemałowane, poplamione gęsto atramentem; jednostajne szeregi ciemno-blond głów i granatowych bluzek. Ze ścian występują wyraziście „Batory pod Pskowem“ i zielone porosty.

Gdy pierwsze wrażenia są już przyswojone, znikają nagle, a na ich miejsce występują nowe. Rumiana, ładna twarzyczka dziewczęcia, siedzącego w pierwszej ławce, kędzierzawa ryza główka żydóweczki, z pod ściany, apatyczne spojrzenie, płynące z bladej, chorowitej twarzy. Jedna przygląda się ciągle paznociom, inna ma taką minę, jakby za chwilę chciała pęknąć ze śmiechu.

Stopniowo nadchodzi fala nazwisk. Obcych, niesłyszanych nigdy, aż do dnia dzisiejszego. Najpierw

uderzają niemile samym dźwiękiem, potem układają się posłusznie, jak płaszcz, wokół właściwej sobie postaci. Nadchodzi chwila, kiedy wygląd, ruchy, mimika uczennicy poczynają nieodwołalnie kojarzyć się z jej nazwiskiem, a przyłączają się do nich najjaskrawsze cechy umysłu i charakteru.

Kształtować się poczyną, uwypuklać, odskakiwać od tła sylwetka ludzka.

Staszka. Pojętna, uważna (te rzeczy dadzą się od razu skontrolować), staranna i czystotka (mundurek, ręce, zeszyty), córka robotnika kolejowego (jak świadczy rodowód); płacze żałośnie, gdy nie „odpowie” tak dobrze, jak pragnęła. Ha! przeczulona nadmiernie ambicja.

Władka. Chmurna, nasepiona, lekceważąca rozporządzenia, nie odpowie ani słówkiem na najłatwiejsze pytania, gdy z pierwszym nie dała sobie rady. Upór, zaciętość, niesympatyczny charakter.

Różia. Uśmiechnięta, wesoła, niezdolna, nierozwinięta (nie potrafi powtórzyć tego, co przed chwilą usłyszała), ale pedantycznie staranna (domowe zadania); uśmiecha się rozbijając po każdym niefortunnym wystąpieniu. Lekkomysłność, niefrasobliwość doprawdy dziecięca.

Jakże mało, bardzo mało! Jakże daleko poza zasięgiem wzroku niedoświadczonego pedagoga została kraina przeżyć, iskrząca się niespodziankami! Cały splot domowych stosunków, pierwszych zahaczeń z życiem, pierwszych walk i różnych, przeróżnych kompromisów.

Stopniowo przychodzą niespodziewane rewelacje.

Odsłania się perspektywa. Rzucić można spojrzanie w głąb.

Ta Andzia z ostatniej ławki dlatego taka biała i senna, że codzień wstaje o 5-ej i z dalekiej, zapadłej w górach wioszcyny przyjeżdża tu na lekcje. Wraca dopiero późnym wieczorem. A cały dzień spędza o kawałku chleba. Czy wytrwa do końca? Czy zdoła dojść zdrowo do celu? A co ją czeka? Posada w wiosce kresowej? A więc życie twarde i mozolne w chałupie wiejskiej, wśród tysiąca prywacyj, w walce z ciemnotą, z brudem, z robactwem, z codzienną trudnością aprowizacji, z brakiem wszelkiej pomocy szkolnej.

Czasem dobiegają echa małych, cichych tragedij.

Jańcia jest chorowita i niezdolna. Wie o tem dobrze i trapi się po całych dniach. Czuje, że jest przepychana z klasy do klasy; ale im wyżej, tem trudności piętrzą się coraz groźniejsze, coraz bardziej, coraz rozpaczliwiej niemożliwe do przezwyciężenia. Kurczy się z lęku i zgrozy. Nie rozumie dobrze nawet tego, co od kilku lat ma za sobą. Jakże więc przebrnie to, co przed nią? A w domu ojczyzna wymówki i utyskiwania. — Kiedyż ten ciężar spadnie nam z karku? — Sytuacja bez wyjścia.

Czasem zadrągają życiem strzępki rozmów.

— Najwięcej lubię Germana. Jak on ślicznie pisze! Powiadają, że jego powieści nic nie są warte. A mnie się tak podoba jego styl. I to, że tak zawsze tajemniczo pisze.

— Żeby to można tak się ubierać codzień, jak te wielkie panie w Paryżu!

Wrażen postronnych mają mało. W klasztorze ukryta czytelnia dostarcza książek. Więc czytają namiętnie. Są takie, które znają całą bez wyjątku produkcję Rodziewiczówny. Chociaż nie. Do kolekcji brak im jeszcze Barbary Tryznianki; więc szukają jej niez mordowanie. Inne zachwycają się Stašką. Można by myśleć, że jeżeli unoszą się nad Antygoną, to chyba przez kurtuazję dla nauczycielki. Ale nie. Gdy katastrofa domu kreonowego dobiega końca, przez klasę przebiega westchnienie. Litości, żalu, zgrozy. Są więc szczerze. Tylko na szerokiej skali ich wrażliwości zmieści się harmonijnie zachwyty dla rzeczy niezwykłych z zachwytem dla rzeczy poziomych.

Czasem przejeżdża sławna recytatorka i rozsypuje w sali zebranych perły śmiechu. Przesuwa się wtedy krawiec Niteczka, małpa w kąpielu i ów Michaś, co to pięć dni nie jadł, umarł na szósty. Śmieją się wtedy młodsze kursy szczerze i szeroko, wspólnie z barwnym ludkiem szkół powszechnych; starsze — powściągliwie, choć również z głębi rozbawionego serca. Tylko objaśniają potem: „Doskonałe było, chociaż dla dzieci”. Są bowiem już dorosłe.

Czasem wypadnie specjalne przedstawienie w kinie. Wtedy wszystko jest śliczne: Śliczny anioł ratujący od pościgu św. Stanisława Kostkę. Śliczna bitwa pod Grunwaldem. Śliczne wybrzeże morskie. Zachwyty ten jest bardzo miły.

Własny niefrasobliwy humor pozwoli dziewczynka poznać wtedy, gdy już nabierze zaufania. Zarzuci przesadnie powściągliwy sposób zwracania się do nauczycielki. Nie jest już sztywna, poważna, małowówna i wyłącznie obserwująca. Stanie się taką, jaką jest w istocie. A więc wygadana, sprytna, bardzo spostrzegawczą, niekiedy dowcipną, zawsze posiadającą sporą dozę złośliwości.

Najczęściej zdarzy się to poraz pierwszy na wycieczce szkolnej. Jeszcze przez miasto idzie się parami. Nagle zamiast domów wyrastają po bokach drogi wolne przestrzenie zielonych pastwisk. Pochłania nas olbrzymiość pól i nieba. Gdy miarowo posuwamy się naprzód, porusza się jednocześnie ziemia pod nogami i błękitna otchłań nad głową.

Wtedy to od razu pęka mur karności. Idzie się, jak kto woli: — brzegiem drogi, nad rowem, samotnie, lub grupkami. Ciska się piłką. Śpiewa się to i owc. Zmyśla się śmieszne piosenki o życiu szkolnym. Przypina się naprędce łatki nauczycielom. Nie szczędzi się nawet tego najgroźniejszego z nich, który „zawsze mruczy pod nosem”.

Wtedy to zadzierzgnąć się może nic prawdziwej zobopólnej sympatji.

WANDA BORUDZKA

## BĘDZIE IM DOBRZE

Mało się ich widuje na odcinku pracowitej codzienności dorosłych. Najmłodszy — wzbudzą zniecierpliwienie w sklepach, z mudnym wyliczaniem przyborów, służących do wyuczenia się rzeczy, znanych powszechnie, choć częściej zapomnianych szczęśliwie i bezpowrotnie. Wytrząsają groszaki na przeróżne oficjalne nabytki, okraszając je odwieczną rozkoszą szkolnego pędactwa — malowankami.

Dołem serca spływa nam wtedy cieniutka strużka litości, że te pstrokato-glansowane szablony róż, gołąbków i niezapominajek nic się nie zmieniły od czasu, kiedy, drżący, zaciągaliśmy na nie pierwszy w życiu dług ośmiu kopiejek.

Starsi poruszają w nas czasem nieszkodliwą odmianę zazdrości brzękiem łyżew, szczelnie naładowanym plecakiem w zwartym szeregu wycieczki, albo rozgwarem trzeciej klasy przy rozjazdach świątecznych, bo wszystko to przypomina ruch, słońce i wiatr: trzy zasadnicze współczynniki swobody.

Słyszy się o nich, że mają ciężkie tarapaty z lekcjami i że trzeba im jakoś te szkoły pozmienić. Czasem znów (ach, ta młodzież!), że są już bardzo zepsuci, choć to samo pisali Kraszewski, Korzeniowski i Fredro. Stąd możemy wnioskować, że tylko Adam i Ewa nie byli dotknięci rozkładem, czemu znów Pismo Święte stanowczo zaprzecza. Niesposób jest wczuć się w ich życie. Czem, bowiem, możemy być dla nich? Zawsze władzą: rodzicielską lub szkolną. To są dwa najbliższe punkty styczności, dopuszczające wszelkie formy stosunków, prócz koleżeństwa: jedyne klucza do serc. Zresztą, o ile ma się ich nawet, z przyczyn pokrewieństwa, pracy zawodowej, czy mieszkaniowych warunków pod ręką, niepodobna wejść z nimi w kontakt ściślejszy, bo mają pełne ręce roboty. Jest ona tak drobiazgową, że nie wiadomo, czy który z ludzi „publicznych” chciałby sobie ulżyć zamianą teki ministerjalnej na różnościami wypchany tornister trzecioklasisty.

Wywiadowczym terenem mogą być tylko wakacje.

Zwolnieni od swojej, mało narazie rentownej, bo tylko „otwartą przyszłością” okupowanej, pracy zawodowej — odpoczywają. Wspólne letnie bytowanie z dorosłymi, z chwilą, kiedy odpada zasadnicze różniczkowanie obowiązków, utrudnia im konspirację. Cała sieć spraw, rozgrywających się w płaszczyźnie klasy, zbiórek, wizyt i telefonów koleżeńskich — zanika. Znajdują się na powierzchni naszej obserwacji. Widzimy, co czytają, co robią. Słyszymy, co mówią. W niedużej grupie paru rodzin łatwo jest wyłowić kilka, odmiennie klasą i wiekiem zabarwionych jednostek, z których przypadkowego doboru można wnioskować o charakterystycznych cechach pokolenia.

Na pierwszy rzut oka najbardziej uderza absolutne uniezależnienie się od pogody. Podczas gdy dorośli z rozpaczą obliczają deficyt doszczętnie zmoczonych miesięcy, towarzystwo — tak się każą (może na pamiątkę bandy czechryńskiej?) nazywać — uważa każdą pogodę za dobrą. Na deszczu i wietrze chodzić jest najciekawiej. Przy straszliwym chłódzie kąpać się najprzyjemniej, bo woda wydaje się ciepła.

Zakazy dzikich, trzydziestokilometrowych, wędrówek są pomijane niedbale przez głodne eksploatacji umysły i mięśnie, posłuszne dowolnie potęgowanym wysiłkom. Dopiero na którejś tam mili ma swój efekt rozpalone ognisko. Można przy niem upiec kartofle, lub przygodnie znaleziony rydz amatorski z piaskiem i solą. A nastraszenie groźnem: „Zjeść czy nie warto?” wiejskiego bachora — jest stałym źródłem pewnej siebie wyższości.

To też po kilku tygodniach starsi wogóle nie mają nic do mówienia w tej sprawie. Pozostawione im są dziecinne, nędzne rozrywki w rodzaju opalania się podczas przerw międzydeszczowych i gnuśne, niedalekie spacerki.

Owa gnuśność jest pojęciem, zwalczanym srodze i nieubłaganie. W starciu z nią wyrabia się poprostu kult — przeciwności.

Łóżko, które z trzaskiem zamyka się na śpiącej osobie, łódź dziurawa, krzesło bez nogi, lub takie, w którym gwóźdź czyha na całość ubrania, stół wywrotny, jabłko w stanie najpierwotniejszych narodzin, miejsce, pokrzywami grożące — to są dopiero godne walki i zwycięstw zdobycze!

Mimo różnic wieku i odchyłeń temperamentów, towarzystwo jest zwarte, jednolite i zgodne. „Dziecię” dziesięcioletnie, na które się mówi z pieszczotą, gdy czasem przekroczy granice: — odwal no się, kondelku! — lub perfidnie: — gołębiu! — bynajmniej nie jest traktowane wzgardliwie. Za postęпки niedość przemyślane, w rodzaju nasypiania piasku do ust śpiącemu przyjacielowi, dostaje gorącą frycówkę, którą znosi z pełnem męstwem poddaniem.

Pozatem ma kredyt otwarty na uznanie swych zasług. Bo też opanowało w najwyższym stopniu cios w szczękę i potrafi podciągnąć się, niby piórko, w powietrze, byle trochę schwyciło sosnowych gałęzi. Wędruje po nich małpim sposobem na czworakach od dołu, a jeśli spadnie, czyni to równie zgrabnie, jak młoda szyszeczka. Z upodobaniem pławi starsze koleżanki, spadając im nagłym skokiem na głowę. Jeśli w nadmiarze zapału wywróci łódź na środku jeziora, ma tę satysfakcję, że siądzie na niej okrakiem. Na dalekich spacerach tem tylko się różni

od reszty, że wypycha kieszenie potrójną porcją zapasów, które spożywa w przezornym oddaleniu. Trudno! Jedzenie—to rzecz najważniejsza. Inaczej nic z podciągania i stójki na rękach.

W takim małpio-wędrownym zapaśniczym i wiosłarsko-pływackim żywocie cechy kawalersko-panieńskie długo jeszcze poczekają na kolej. Wszelka kokieteryja traktowana jest z najwyższą odrazą. Od sukni wymaga się tylko — krótkości. Nogi niezhańbione są w żadną pogodę obuwiem. Nawet „Zuczek“ (klammerka), przytrzymujący włosy, jest przedmiotem wyraźnej niechęci. Ponieważ jednak starsi protestują stanowczo przeciw kudłom, trzeba ową zbyteczność wyławiać z wody, wyplątywać z traw, lub nabywać nanowo w żydowskim sklepiku.

Wstręt do wszelkiej kosmetyki jest tak agresywny, że nawet zapach niewinnej Elidy wydaje się w tym trybie pojęć intruzem. A przesłiczna siedemnastoletnia szczupłość ramion i nóg została by w każdej chwili radośnie oddana za żywy synonim siły—grubość jak najbardziej sękatą.

Naturalnym wynikiem takiego mózgowo-mięśniowego układu jest odraza do wszelkiego rodzaju romansowości w rozmowach, sposobie bycia i książkach. Któż z dorosłych mógłby się pochłubić odrzuceniem „Iwonki“, czy innego „Szlakiem tęsknoty“, jeśli trafią do rąk w słotnej godzinie gnuśności? Towarzystwo woli w takim wypadku rozbijać głowy o piłkę, grać w „mruczando“, lub komentować kwiatki miejscowego narzecza. Z lubością cytuje wyrażenia w rodzaju „cielne pańczochy“ i „perfumy od Kota“, „psini“, „czomber“ (jumper) i tym podobne. Nie weźmie do rąk żadnego romansowego nudziarstwa. Poza lekturą szkolną chętnie zabawia się powieściami detektywicznymi, a nadewszystko uwielbia Londona.

Być w Dawson! Krzepnąć na mroźniel Płynąć po krze lodowej do Dyea! Upadać pod ciężarem tłomoków! Jeść czarną fasolę i mięso suszone!

Zanim jednak wszelkie egzotyczności staną się aktualne, każde z nich marzy o wędrowce po Polsce z kijem w rękę i szczotką do zębów w kieszeni, do której redukują się zarówno męskie, jak kobiece wymagania toaletowe.

Z tego szczeniackiego zachłystywania się ruchem wykluwa się swoista filozofja: kształcić wolę i mięśnie, a życie brać od wesołej strony.

Na postawione sztorcem pytanie:

— No, dobrze, a jeśli nieszczęście... powiedzmy... mąż umiera? — brwi jaskółcze ściągają się poważnie nad oczernionym rżesami lazurem, i pada twarda odpowiedź:

— To trudno. Jeden kawałek życia się skończy. Trzeba zacząć następny.

— A jeśli cię opuści?

— Wyrzucę go z serca! — (patos umyślnie artykułowany)—albowiem okazał się niegodnym mej miłości.

— I jak to sobie wyobrażasz—bez cierpień?

— O, nie! — (głos, nasiąknięty żarliwością zrozumienia). — Przecierpieć trzeba. To już nieuniknione. Ale nie można przez to stanąć w jednym miejscu.

Przecięcie niedotkniętego doświadczeniem zagadnienia krótkie i proste. Czy jednak nie dochodzi się do tego samego wniosku po długim robieniu wiosłami na wielkiej wodzie cierpienia?

O szkole się mówi niewiele. Czasem z zalem się wspomni koleżankę, która jest już do niczego: tknęła ją, bowiem, warjactwo miłosne, i (głupia!) zapisuje bruljon imieniem ukochanego. A szkoda! dobra była do piłki. Teraz powtarza tylko wkółko: „Nie znacie życia!...“

Takie nieszczęsne, co już poczuły wolę Bożą, otaczane są mieszaniną politowania i współczucia, a ich walory spadają niepowrotnie na targowisku przyjaźni. Chyba, że znów zmądrzeją...

Rygory i zakazy nie dolegają zbyt. Najbardziej dokuczliwymi paragrafami indeksu są: harcerstwo i pantofle na gumowej podeszwie. Istnieją, bowiem, szkoły, co w tak naiwny i bezskuteczny sposób akcentują swoją niechęć do sportu. Natomiast pochwała się szkole wpajanie potrzebnych w życiu umiejętności: gotowania i fotografii. Chętnie byłyby widziane: ratownictwo, pielęgniarstwo, higjena, zdobnictwo wnętrza i technika czynności domowych, a także szycie, zamiast wykwinnych robótek.

Mimo wstrzemięzliwego stosunku do szkoły, kończące w tym roku mają dla niej pewien sentyment, jako dla ostatniego etapu bądź co bądź uregulowanej egzystencji, tembardziej, że następny nie wyłonił się jeszcze wyrazistym konturem z mglistej epoki dorosłości. Dwie rzeczy jednakże są pewne: trzeba będzie zarabiać i—żadnych małżonków!

To pierwsze—dla kupienia roweru, a drugie—chyba poto, żeby nic na nim jeździć nie przeszkadzało.

W tej niezłomnej decyzji trudno jest dopatrzeć się cech zaciekłego feminizmu, czy emancypacji. Jest to raczej instynktowna obawa możliwych komplikacji, które ryzykownie byłoby zaliczyć do ulubionych, hartujących przeciwności.

I naprzekór tej maleńkiej, dziwacznej słabości chciałoby się dzielnemu towarzystwu rzucić kilka słów koleżeńskiej otuchy.

— No, więc cóż, gdyby nawet?

Jeśli to padnie nagle, jak mgła na jezioro, czyż ta mgła mleczna, gęsta, kiedykolwiek stanęła wam na przeszkodzie w sterowaniu do brzegu, co się nagle zagubił?

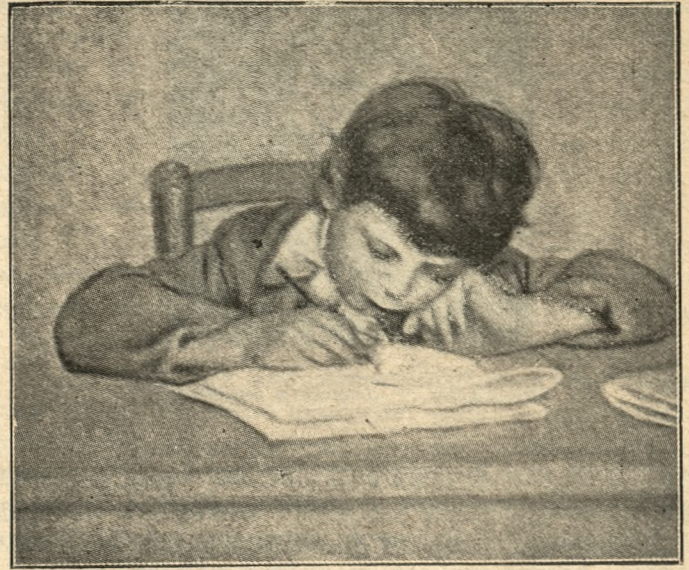
Jeżeli zaś przyjdzie, jak wiatr jakiś ogromny na temże jeziorze—czyż złamiecie zasadnicze przykazanie żeglarskie: nigdy bokiem do fal?

Dwumian mięśni i woli. Leszczynowa prężność istnienia. Starczy tego nietylko na jeden rok szkolny. Starczy na życie.

## „BAMBINO“

Nad różową twarzyczką dziecka pochylają się pokolenia, jak nad najdroższym, a niedocieczonym skarbem; łagodny łuk drobnego ciała wiąże dalekie przepaści.

Tę krew najświeższą i najczystszą, co płynie tuż pod skórą, różowiąc ją, jak perłę; delikatne chrząstki, kości — pieścidełka; niezmacony, przezroczysty koloryt, harmonję barwną policzków, włosów i oczu — upodobali sobie artyści, jako najsubtelniejszy wyraz tego, co pozwala im osiągnąć ich sztuka. Potężne, bohaterskie tematy, ubrane w monumentalne, rozpięrane wewnętrznym dynamizmem, czy zastygłe w klasycznej doskonałości kształty — stają się ujściem tej siły wewnętrznej, która w dziele każdego prawdziwego artysty raz przynajmniej musi wyładować się na podobieństwo burzy; lecz „puszyste włosy czteroletniej dziewczynki” wymagają subtelnych i miękkich muśnięć pędzlem — i tak samo subtelnego i miękkiego nastawienia psychicznego. Moznaby niemal powiedzieć, że częstotliwość użycia w sztuce, jako tematu — dziecka — jest miarą kultury artystycznej danej epoki. Miarą kultury psychicznej również — bo wszak chodzi tu zarówno o ujęcie samej tej „dziecinnej” treści, tak niezmiernie złożonej i misternej, tak kruchej nieledwie — jeśli wolno się w ten sposób wyrazić, jak i o przetopienie tej treści w wyrafinowany kształt, o cyzelatorskie obrobienie tego kształtu. Im co jest mniejsze i drobniejsze, — tem trudniejsze, tembardziej skomplikowane. Świat, który się odbija w kropli wody, jest



Renoir — „Dziecko rysujące“

tym samym nieogarniętym światem, który nas otacza — tylko w proporcjach milion razy pomniejszonych.

Im niższy jest ogólny poziom społeczeństwa, im silniejsze są krańcowości i grubsza prostolinijność sądów, tem rzadziej, tem niechętniej obiera się dziecko, jako temat dzieła artystycznego. Gdyż temat ten wydaje się zbyt błahy i zbyt zarazem wyrafinowany. Istnieją pewne epoki w tym olbrzymim okresie, który zwykliśmy określać jednym mianem: średniowiecze — kiedy dziecko — jako takie — wogóle w sztuce nie występuje. Madonny nie piastują wówczas w ramionach Dzieciątka — lecz Symbol, Znak wiary, dla kanonu tylko ubieramy w kształt małego człowieka. A podobnie, jak fanatyczne i oschłe zarazem nastawienie duchowe tych ludzi potrafiło znaleźć swój wyraz w jedynie możliwie bezwzględnej — przez swą właśnie bezosobowość — formule, — podobnie i ich wyuczucie artystyczne, mające już czysto sensualne podłoże, znajduje ujście raczej w abstrakcyjnych harmonjach, czy dysharmonjach kolorystycznych, w geometrycznych zespołach linii, przeprowadzanych niejako na marginesie ciał i szat — aniżeli w żywych, organicznych, zmiennych formach.

W okresie późnego renesansu, gdy wykwit najwyższej kultury osiągnął pełnię wyrazu, gdy wydolikaczone, przesubtelnione podniebienie potrzebowało już zapraw tylko najmistrzowskich, najbardziej wyszukanych — „bambino” błyska brzoskwiniowem ciałkiem z obrazów i fresków wszystkich niemal mistrzów. Mały Jezusik na kolanach wykwiutnej damy florenckiej, w którą przekształca się w dziełach tego okresu sztywna i majestatyczna Królowa obrazów bizantyjskich.



Tycjan — „Córka Roberta Strozzi“



Della Robia — „Dziecko w powijakach“

skich—jest przedewszystkiem pulchnym, rozkosznym dzidziusiem, o starannie wymodelowanych dołeczkach na łokciach i rozchylonych, naiwnych ustach. Tylko bardzo, bardzo nieliczni z pośród malarzy, tylko ci, którzy zostają Wielkimi nazawsze — dają temu rozbawionemu dzieciakowi przepaściste, straszliwe w swej głębi spojrzenie. Lecz po większej części jest to tylko dziecko: dziecko rozfiglowane, dziecko naburmuszone, które ma atlasową skórę i najpiękniejszą karnację. I tutaj zaczynają się dziwy pędzla, który muska, prześlizguje się, głaszcze, wibruje—aby tylko oddać to nieprawdopodobne lśnienie, tę przezroczystą gładkość, te pełne doskonałości zaokrąglenia...

Jakież pole do najkapryśniejszego grania kolorami, do najczulszego pieśczenia się formą!. I jakie szczęście, że dozwolone są już tematy mitologiczne, że można dokoła wszystkich Afrodyt i Artemid ustawiać „putti“ różane w radosnych korowodach! A jeżeli Matka Boża ukazywała się do niedawna w otoczeniu aniołów—dziewic i młodzieńców—to teraz otaczają ją małe aniołki, aniołeczki-niemowlęta, których jest tak dużo zazwyczaj i które są oddawane z tak radosną pieczołowitością, że zdaje się niemal, iż to one, a nie Najświętsza Panna, są ważniejsze dla malarza...

Różne przechodzi fazy stosunek do dziecka w życiu—i różne—w sztuce. Z za wysokich kryz zabójczo królewskich szat hiszpańskich spoglądają ku nam oczy infantek—dziecinne, a przecież dziwnie dojrzałe. Te usta, o dziecięcej jeszcze pulchności, uśmiechają się już tym samym zimnym i suchym uśmiechem, którym królowie i wielcy tego świata umieją zabijać. W ciężkiej, paradoksalnej sukni tłucze się wąty, smukły korpusik; za długimi rzesami, za porcelanową, jak u lalki, powieką kryje się głęboka powaga. Nie ma radości. Te dzieci panują. Te dzieci nie są szczęśliwe. W atmosferze nowych kanonów, nowych „niezłomnych nakazów“ zapomniano, zatracono ten pupek wiotki, tę bezcenną kropelkę: istotę dziecka...

A gdy nastał okres „przewartościowania wszystkich wartości“, okres największych zwątpień i najsilniejszej potrzeby wiary, największego rozprężenia wszystkich władz psychicznych i najbardziej niezłomnej koncentracji — okres samoanalizy, niewiedzy, publicznego, głośnego bluźnierstwa i utajonej, milczącej świętości, okres zagubienia, zabłąkania się na manowcach—nad zamysłoną głową dziecka pochylił się świat — nad swoją jedyną nadzieją. Sztuka wzięła w swoje posiadanie czoło, za którym niewiedomo jaka myśl mieszka, nieświadome, a przecież wiedzące oczy. Gdy pędzel pod naciskiem nerwowych palców artysty kojarzy zorzę rumieńca z powiewną popielatością włosów, gdy w niewytłumaczony sposób wyzwała na powierzchnię płótna zlekka zaróżowioną brunatność prężnych, wygimnastykowanych członków,—wola artysty wlewa w te oczy, na te usta i czoło światło, którego brakło małym bożyszczom greckim, i amorkom, i „puttim“ Odrodzenia. Pochylamy się nad duszą dziecka, tajemniczą i prostą, — naszą własną zagubioną duszą. l. j.



TEATR POLSKI

„T a m t e n“—Gabryeli Zapolskiej, reżyserja Karola Borowskiego — dekoracje Stanisława Śliwińskiego.

Trzydzieści lat — to okres czasu, wciągu którego nawet najlepsza sztuka może zapleśnieć lub zardzewieć, przejść okres fermentacji wewnętrznej, która zdecydowanie o formach jej dalszego istnienia, lub bliskim rozkładzie. Wskreszenie „Tamtego“ w Polsce niepodległej wykazało wszystkie jego nierówności i braki: dysproporcję między literackim zamiarem autorki, a artystycznym rezultatem jej wysiłków; nierówną walkę między niezdrową egzaltacją „cierpiętnictwa“, a tegim, realistycznym rozmachem żywiołowego talentu, który zmysł sceny ma w końcach palców i którego każde dotknięcie wlewa krew w żyły martwych naporów tworców wyobraźni.

Jakże szybko wyrosliśmy z tej atmosfery studencko-romantyczno-konspiracyjnej, która dziś, w perspektywie lat, wygląda, jak zabawa dzieci w spiskowców! Prawdziwy „Teatro dei Piccoli“ ideału, który każdy z nas nosił w piersi, jak relikwję. Z jakim łagodnym pobłażaniem patrzymy na te zbiorowe lektury Ibsena i Maeterlincka, na przemycaną przez granicę „bibułę“, na ten cały szlachetny snobizm podziemnej roboty, którą entuzjazm młodzieży i wielkooka czujność zan-

darmerji rozdmuchiwały tak często do rozmiarów jałowego bohaterstwa i bezpłodnej ofiary, gaszonej na długo przed prawdziwym czynem w kazamatach cyta-  
tadeli, lub w śniegach Sybiru!

Odeszliśmy od tego wszystkiego niedaleko: tylko na rzut niepodległości—i spoglądamy wstecz na zma-  
łałe niebezpieczeństwa, podobnie, jak turysta ogarnia dumnym wzrokiem przebyty łańcuch gór, na których nieraz skóra mu cierpła ze strachu. Nie boimy się już dziś żandarma, rewizji, cyta-  
tadeli. Tylko przekupki i ło-  
trzyki podmiejskie uciekają przed policjantem. Skłonni jesteśmy bronić praworządności naszego państwa z tą samą bezwzględnością, z jaką to czynił nieubła-  
gany Kornilow.

Cóż robić! szczyty pozostały szczytami, bohater-  
stwo—bohaterstwem, a babki z piasku, które stawia-  
liśmy w przekonaniu, że budujemy fortecę, rozsypały się w proch niepamięci.

I stąd wypływa najpoważniejszy zarzut, jaki moż-  
naby uczynić Zapolskiej z punktu widzenia prawdy historycznej: nie umiała wydobyć nuty istotnego heroizmu tych czasów, a wiemy, że heroizm taki istniał. To wszystko, co mówi Anna, to jest patos, i to patos nieszczerzy. Zresztą, Anna—to nie żywy człowiek: to papierowa rezonerka cierpiętnictwa, która nie zapala, ale mrozi. Nic dziwnego, że Kazimierz uciekał od tej doskonałości do Józki z kawiarni, od której aż buchał żar krwi i temperamentu. A zapytajmy się, co robią ci wszyscy młodzi zapaleńcy, których tak bardzo na serjo bierze rosyjska żandarmerja? Kazimierz nie robi nic, bo „dał słowo“, kiedy go wypuszczano z cyta-  
tadeli, i słowa tego dotrzymuje. A inni? Przesyłają sobie bezi-  
miennie paczki proklamacyj, podobnie, jak dewotki przesyłają sobie cudowne modlitwy, które trzeba przepisać dziewięć razy, aby poskutkowały. No, i co dalej? Ano—więcej nic. To chyba zamało, żeby wyrosnąć na bohatera? W sam raz, żeby zostać męczennikiem z wy-

padku, no, i z dobrej woli. Jedno mogłaby mieć Zapolska na swoje usprawiedliwienie: chciała celowo zatuszować doniosłość konspiracji, odiała lwy w runa jagnięce, aby uspić czujność wroga. Ale wymówka ta nie ma gruntu pod nogami. Zapolska zbyt dobrze znała rosyjskich żandarmów, aby ludzić się, że budują oni swe podejrzenia na podstawie beletrystyki zakordonowej. Chciała skupić wszystkie światła na osobach Anny i Kazimierza, ale zamiast aureoli męczeńskiej zapaliła nad ich głowami ognie bengalskie. Słońce prawdziwego aityzmu ozłociło tylko jedną postać — postać Kornilowa. Tamci zszarżeli, skarleli, zbledli,—on się spatynował, jak bronz. Sylwetka jego nie ma ani jednego błędu w rysunku: jest zrobiona ręką mistrza. I ona siłą rzeczy wysuwa się na plan pierwszy.

„Tamten“ nie jest dramatem Anny i Kazimierza, nawet nie dramatem nierównej walki między Polską a Moskałem, ale jest przedewszystkiem dramatem Kornilowa. On jest właściwą osią akcji, on przykuwa uwagę i zainteresowanie widza, on wzbudza to współczucie i podziw, jakie zespalażą nazawsze scenę z widow-  
nią, autora z czytelnikiem. Nie o to nam chodzi, czy i jak Kazimierz z Anną będą się kochali, ale czy Kornilow wyjdzie zwycięzcą z szalonego rekordu śledztwa nad Strelkowym, czyją śmiercią skończy się ten jedyny w swoim rodzaju pojedynek Katona systemu żandarmskiego, z podłością i chamstwem ordynarnego stupajki.

Śmierć Strelkowa jest właściwem rozwiązaniem dramatu. Ostatnia odsłona jest, z punktu widzenia artystycznego, zbędna, pod względem ideowym—szkodliwa. Ten „bohater narodowy“, który gwałtem chce zostać męczennikiem „sprawy“ i w tym celu robi ordynarną burdę pod cytadelą, jest conajmniej niesmaczny. Jedyny pozytywny czyn, na jaki się mógł zdobyć, to było zrzucenie czapki żandarmowi, pełniącemu służbę. I w imię takiego „bohaterstwa“ przekreśla się swoją przeszłość i zostawia matkę w nędzy! Zaiste, Rosja carska mogła spać spokojnie przy takich wrogach!

Postać Kornilowa, niegdyś grana przez Kamińskiego w teatrze krakowskim, znalazła znakomitego odtwórcę w osobie Junoszy-Stępowskiego. Świetny artysta wyciągnął na jaw wszystkie skarby, drzemające w łonie „spizowego człowieka“. Takie sceny, jak rozmowa z Hornem, śledztwo w cyta-  
tadeli, a szczególnie moment poszukiwań w papierach Strelkowa, moment, który zdawał się przedłużać w wieczność,—to były fragmenty, urastające w całość, godną „wielkiego dramatu“.

Samborski dał doskonałą bryłę Horna; Małkowski, jako stary wachmistrz, z ojcowską czułością tulący polską dziewczynkę, był rozrzewniający. Leszczyńskiemu trudno było być niesympatycznym, nawet w roli podłego Strelkowa. Tłukł szkło z rozmachem, kochał się z temperamentem, zabił się, po pijanemu wprawdzie, ale z odwagą. Inni artyści albo wpadali w karykaturę, albo walczyli bezskutecznie z papierowymi rolami.

S. P. O.



„Tamten“ scena z aktu II-ego

Samborski. Junosza - Stępowski. Romanówna, Muclingrowa

# Kobieta w świecie i w domu

CELE I ZADANIA L. O. P. P.

(z okazji „V-go Tygodnia Lotniczo-Gazowego“)

„V-ty Tydzień Lotniczo-Gazowy, który w dniach 2—9 września r. b. odbywał się na terenie całej Polski, miał na celu: uświadomienie społeczeństwa o olbrzymim znaczeniu, jakie w dobie obecnej posiada lotnictwo i obrona przeciwgazowa, zwiększenie liczby stałych członków L.O.P.P. oraz wydatne jednorazowe zasilenie jej funduszów.

Aczkolwiek oficjalne rezultaty „Tygodnia“ nie są jeszcze obliczone, już dziś da się z całą pewnością stwierdzić, iż akcja ta została pomyślnie przeprowadzona i dała, zwłaszcza na terenie stolicy, doskonałe wyniki.

Umożliwi to dalsze wzmocnienie działalności L. O. P. P. W dziedzinie lotnictwa L. O. P. P. buduje lotniska i hangary, szkoli pilotów i mechaników lotniczych, popiera prace polskich konstruktorów, dba o rozwój wiedzy lotniczej, buduje laboratoria naukowe i t. p. W dziedzinie obrony przeciwgazowej L.O.P.P. urządza kursy obrony przeciwgazowej, buduje instytuty badawcze, projektuje stworzenie całego szeregu urządzeń, mających na celu zabezpieczenie ludności cywilnej na wypadek ataku gazowego i t. p.

Ostatnio Kom. Stoł. L.O.P.P. zorganizował kilka kursów obrony przeciwgazowej dla przysposobienia wojskowego. W kursie tym uczestniczyły również i kobiety, które wykazały wielkie zdolności i orjentowały się doskonale w całokształcie wykładanych przedmiotów. Ilustracja nasza przedstawia oddział przysposobienia wojskowego kobiet w maskach gazowych, podczas ćwiczeń polowych w okolicach Warszawy.



Kurs obrony Przeciwgazowej dla Przysposobienia Wojsk. Kobiet, zorganizowany przez Komitet Stołeczny L. O. P. P.  
Oddział dziewcząt w maskach gazowych

## DZIECI POLSKIE Z GERMAŃSKIEJ OBCYZYNY NA KOŁONJACH Z. O. K. Z. W POLSCE

Nie było w tym roku powiatu—jak Polska długa i szeroka—w którym nie byłoby kolonji letniej dla dzieci polskich z obczyzny i ziem niewyzwolonych!

Związek Obrony Kresów Zachodnich zorganizował wakacje w Polsce dla 17.000 dzieci, w czem 10.000 z polskiego Górnego Śląska.

Były dzieci z Rzeszy niemieckiej: z Westfalji, Nadrenji, Berlina, Drezna i Saksonji, ze Śląska Opolskiego (700 dzieci) i z pogranicza zlotowskiego, pasa, graniczącego z Pomorzem polskim i Wielkopolską. Było 216 dzieci z Gdańska i 120 z korytarza gdańskiego. dokąd poraz pierwszy sięgnęła akcja Związku Obrony Kresów Zachodnich. Również poraz pierwszy przywieziono 64 dzieci z Wiednia, miłych i odznaczających się żywym poczuciem polskości, jakkolwiek zapomniały języka ojczystego od czasu wojennego uchodźstwa w 1914 r.

Przybyło również 40 dzieci z Łużyc, słowiańskiej prowincji, sympatyzującej z Polakami i broniącej swej odrębności językowej i plemiennej przed zakusami niemieczyzny. Te dzieci otrzymały wychowawców Łużyczan, lecz mieszkały na kolonji w Grybowie (Małopolska) razem z dziećmi polskimi.

Kolonje Z. O. K. Z. były organizowane i utrzymywane z funduszów Centrali Związku, w wielu jednak wypadkach całkowite koszty brały na siebie koła miejscowe, pomagały samorządy i osoby prywatne. A jak zazwyczaj, w każdej akcji społecznej, robota faktyczna — wykonawcza, organizacyjna i opiekuńcza — wykonana została rękami kobiet-działaczek.

Najbardziej ofiarne okazało się społeczeństwo województwa lubelskiego, które swoim sumptem stworzyło kolonje dla 1.100 dzieci; dalej lwowskie, białostockie, warszawskie, które dało 1.000 miejsc dla dzieci własnym kosztem, a 400 miejsc, opłaconych przez Centralę. W województwie śląskim było na wakacjach 2.700 dzieci, lecz na utrzymaniu Centrali Z. O. K. Z.

Kolonje trwają jeszcze przez wrzesień; dokładne statystyki będą więc możliwe dopiero później.

Naogół kolonje prowadzono na wysokim poziomie. Dzieci były dobrze odżywiane i pozostawały pod opieką fachowych wychowawczyń i wychowawców. Przeciętne koszty utrzymania dziecka wynosiły 2—2,40 zł. dziennie, a zatem znacznie więcej, niż na kolonjach letnich, urządzanych przez nasze miasta dla dzieci szkolnych. Niektóre kolonje, dzięki ofiarności społeczeństwa, wydawały jeszcze więcej, przyczem dzieci dostawały ubranka i książki.

Stosunkowo najwięcej dzieci rozmieszczono nad morzem i na Podkarpaciu, zapewniając im najlepsze warunki zdrowotne; najmniej dzieci przyjęły ziemie wschodnie, z wyjątkiem Wileńszczyzny i Małopolski Wschodniej, bardzo gościnnych i na rzecz dziatwy ofiarnych.

Przebywając na kolonjach w Polsce, dzieci z poza granicy nie tylko używają wakacyjnego odpoczynku i przyjemności, nie tylko zyskują na zdrowiu i wadze (przeciętnie 2,5 kg.), lecz wchłaniają w siebie atmosferę polskości, uczą się języka polskiego, zapoznają się z ziemią i kulturą Polski, którą szkoła niemiecka stara się im tendencyjnie zohydzić.

Dzieci nawiązują serdeczne nici przyjaźni między sobą i opiekunami kolonji, prowadzą potem korespondencję z Krajem, a wiele dzieci kilkakrotnie już powracało na wakacje do Polski, gdzie czują się bardzo dobrze i doznają wiele serdeczności.

Naogół przyjeżdżają na kolonje dzieci kilkunastoletnie (nie młodsze, niż 10—12 letnie) — orjentują się więc już w podstawowych zagadnieniach narodowych i społecznych i zachowują w pamięci doznane wrażenia.

Stanowią też tym sposobem żywy łącznik między swemi rodzicami, a Ojczyzną, którą emigranci polscy opuścili, dążąc za chlebem na Zachód.

j. k.



## UMIEMY BYĆ WDZIĘCZNI!

Są na świecie cnoty, o których się często mówi, a nader rzadko je praktykuje.

Do takich należy bezsprzecznie cnota wdzięczności.

Powiedzieć ktoś może, iż w dzisiejszych, zmaterializowanych czasach mało mamy do niej okazji, gdyż zanika coraz bardziej pietyzm uczuć rodzinnych, świadczenia przyjaźni i uczynności ludzkiej. Nie, tak źle stanowczo nie jest! Przeciwnie: wraz z coraz większym uspołecznieniem, z ogólnym wzmożeniem działalności jednostki, wychodzącej poza krąg domowego ogniska i własnej rodziny, wzmagają się raczej uczynność, pole jej otwiera się dla każdego, najskromniejszego nawet człowieka, który dawniej nie posiadał żadnych środków jej praktykowania.

Czyż lat temu kilkanaście jeszcze student, młoda panienka, niezamożna matka, lub ojciec rodziny mogli brać taki, jak obecnie, udział w pracy społecznej? czy mogli w czasie, gdy każdy ledwie, jak to mówią, „dyszał” na własnym stanowisku, w każdej chwili zagrożony jakimś prześladowaniem, myśleć o dopomożeniu drugiemu do zyskania kawałka chleba, stypendjum, jakiegokolwiek ulgi życiowej? Stanowczo—nie! Naturalnie, iż rzeczy te praktykowały, się mimo wszystko, niemniej jednak stwierdzić musimy, iż obecnie ogólny rozwój ich jest bez porównania większy.

Od wczesnego dzieciństwa młodzież w szkole polskiej zaprawia się do uczynności, dopomagania drugim, do samopomocy społecznej. Na szeroką skalę rozwijają się prace bratniej pomocy w wyższych uczelniach, gdzie setki najteższych jednostek poświęcają cały swój czas i pracę organizacji, dającej niezamożnym kolegom mieszkania w domach własnych, kurację, letniska, wszelką pomoc materialną. Wszystkie syndykaty zawodowe, wszystkie stowarzyszenia społeczne, jako wytyczną swej działalności, stawiają sprawę dopomagania swym członkom i szerokim kołom społeczeństwa oraz opiekę nad każdym, kto jej wskutek jakiegokolwiek ciężkich warunków życiowych może zapotrzebować.

Taksamo każdy niemal człowiek uważa sobie za obowiązek dopomagać drugim, czy to w pracy zbiorowej i społecznej, czy prywatnie. I niema dziś chyba człowieka, któryby nie dopomógł komuś, nieraz nawet obcemu zupełnie.

Zagospodarowaliśmy się u siebie, zajęliśmy własne, przynależne nam w rodzinnym kraju stanowiska i musimy przyznać, że ogół społeczeństwa nie zasklepił się w sobkostwie, lecz dąży do jaknajwiększego udoskonalenia w pracy społecznej i społecznej pomocy.

Niestety! ta druga strona, wspomagana, niezawsze, a nawet bardzo rzadko poczuwa się do obowiązku wdzięczności i odpłaty.

Dawniej, gdy w czasach niewoli działała tajnie bratnia pomoc studencka, każdy, kto z niej korzystał, uważałby sobie za największe ubliżenie nie zapłacić składki, nie zwrócić zapomogi w chwili, gdy tylko mógł to uczynić. Dziś... Przed paru miesiącami zarząd Bratniej Pomocy Uniwersytetu Warszawskiego ogłaszał długi czas daremnie wezwania do członków, zmuszony w końcu do groźby, że ujawni nazwiska tych, o których wie, iż znajdują się na intratnych stanowiskach, a nie poczuwają się do zwrócenia pobranych w trudnych chwilach zapomóg!

To samo jest we wszystkich stowarzyszeniach: nie dosyć na tem, że ogromna ilość ludzi, zapisując się do nich, zapytuje tylko: „co będę miał z tego?” ale nawet, gdy już coś ma, i często bardzo korzystnego, nie poczuwa się do elementarnego obowiązku zwrotu i dołożenia, w imię najprostszego nakazu wdzięczności, części swego trudu i swej ofiary!

Tak jest z wdzięcznością społeczną; mniejwięcej to samo dzieje się z prywatną. W dawnych czasach wdzięczność, pamięć o doznanej przysłudze, przechodziła z pokolenia na pokolenie. Ileż mamy tego przykładów w naszej literaturze! Młody szlachcic, przebywając na dworze zamożnego krewnego lub magnata, uważał go całe życie za swego dobrodzieja i dzieciom przekazywał pamięć o nim, choć właściwie zachodziła tam tylko wzajemna wymiana usług. Taksamo wielokrotnie rodzice przez całe życie uczyli dzieci i testamentem zalecali im wdzięczność i gotowość do wszelkiej pomocy dla ludzi, którzy im kiedyś tę pomoc okazali! A dziś? W najbliższej rodzinie zapomina się momentalnie o poważnych nieraz i wielkich przysługach! Gorączkowe tętno życia, pseudo-postępowość, twierdząca, że tradycje rodzinne—to zacofanie—doprowadzają do tego, że młode pokolenie pojęcia nawet nie ma, kto był bliskim krewnym lub serdecznym przyjacielem rodziców; nie interesuje się wcale, kto im w czemkolwiek dopomógł, a myśl przyjęcia za to obowiązku wdzięczności wzbudziłaby niebotyczne zdumienie.

Naturalnie, że ten brak kultury historycznej niejako wytwarza i obojętność współczesną. Wdzięczność za doznaną przysługę, pamięć o niej, obowiązek odpłacenia się w miarę możliwości—jest czemś niesłychanie mało i rzadko praktykowanym. Znamy doskonale i uznajemy prawo towarzyskiego rewanżu: wchodzi tu bowiem w grę nasze ambicje i ambicjki. Ileż to razy, gdy otrzymamy od kogoś na imieniny kosztowny kwiat, pudło czekoladek, lub inny podarek, „musimy”, nieraz z poważnym nadszarpnięciem budżetu, odpłacić mu podobnym prezentem, lub kosztownym przyjęciem! Zato o tym, kto podał nam rękę w trudnej chwili, dopomógł do uzyskania posady, ratował pożyczką, lub choćby dobrem słowem i radą dodał otuchy, — jakże łatwo zapominamy!

I robią tak często ludzie nawet nieegoistyczni, nawet dobrzy, nawet sami świadczący drugim usług!

Jest to poprostu brak kultury w tym kierunku, brak obowiązkowości, tak częsty, niestety, wśród naszego obecnego społeczeństwa; brak poszanowania prawa wszelkiego, które to poszanowanie wyrobiły w sobie w wysokim stopniu niektóre narody, jak np. Anglicy, a o którym my, w czasie długoletniej niewoli, zapomnieliśmy.

To poczucie poszanowania i umiłowania świętego prawa wdzięczności hodować musimy w sobie i wszczepiać je w dzieci nasze od ich lat najmłodszych. Musimy uświadomić sobie, że tylko wrazie zupełnej niemożności bezpośredniego odwzajemnienia się

za doznaną przysługę, można pośrednio oddać ją drugim; że obok ogólnej pracy społecznej i usług oddawanych stanąć musi na pierwszym planie obowiązek moralnego i materialnego wypłacenia się z tego, co się samemu otrzymało, lub co otrzymali nasi najbliżsi. A przede wszystkim—wyrobić w sobie pamięć i kulturę uczucia wdzięczności, jednego z najszlachetniejszych uczuć ludzkich: ono, bowiem, tylko pozwala nam przyjąć pomoc bez upokorzenia i odpłacić za nią bez zarozumiałości i pychy. Wdzięczność jest wielkim ogniwem w braterstwie dusz,—stańmyż się godni jego odczucia!

N. J.

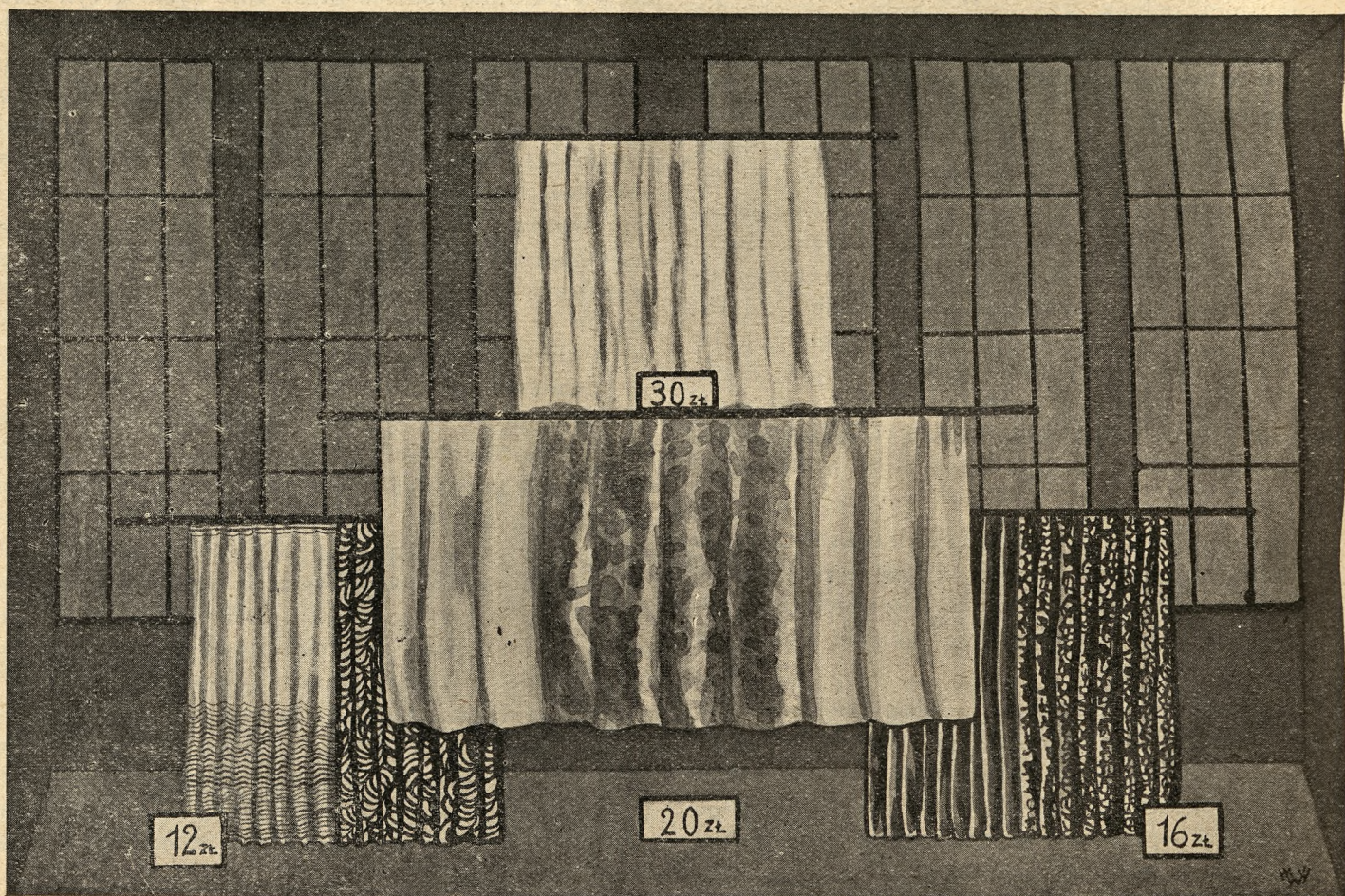
## ESTETYKA WYSTAWY SKLEPOWEJ

Dekorator radzi sobie ze złem koniecznym, zasłaniając okna draperją od strony wystawy lub od wewnątrz jednolitą zasłoną, przynajmniej do tej wysokości, do jakiej sięgają towary na wystawie. Może też organicznie wkomponować okna w całość wystawy, wyzyskując dekoracyjną wartość ram okiennych. Ilustruje to nasz projekt wystawy materiałów tekstylnych na poziomych stelażach. Poziome linie (stelaż) i pionowe

(fałdy materiałów) powtarzają się w linii okien, które w ten sposób nie rozrywają całości (rys. 3).

Najkorzystniejsze wrażenie, jako tło wystawy, tj. jej odgraniczenie w głębi robi draperja lub ściana, obita jednostajną materją.

Przewodnią zasadą dobierania tła do towarów jest zestawienie przeciwieństw: ciemne tło dla przedmiotów jasnych i jaśniejsze—dla ciemnych; przyczem



Rys. 3. Wystawa towarów tekstylnych na oryginalnym poziomym stelażu

pamiętać trzeba, że tło ciemne daje efekt głębi i oddalenia. Tak na projekcie wystawy aksamitów, w płytkim stosunkowo oknie podłużnym, stwierdzamy złudzenie znacznego pogłębienia, osiągnięte przez ciemne tło, które zarazem podkreśla klasyczny spokój i powagę draperji (rys. 4).

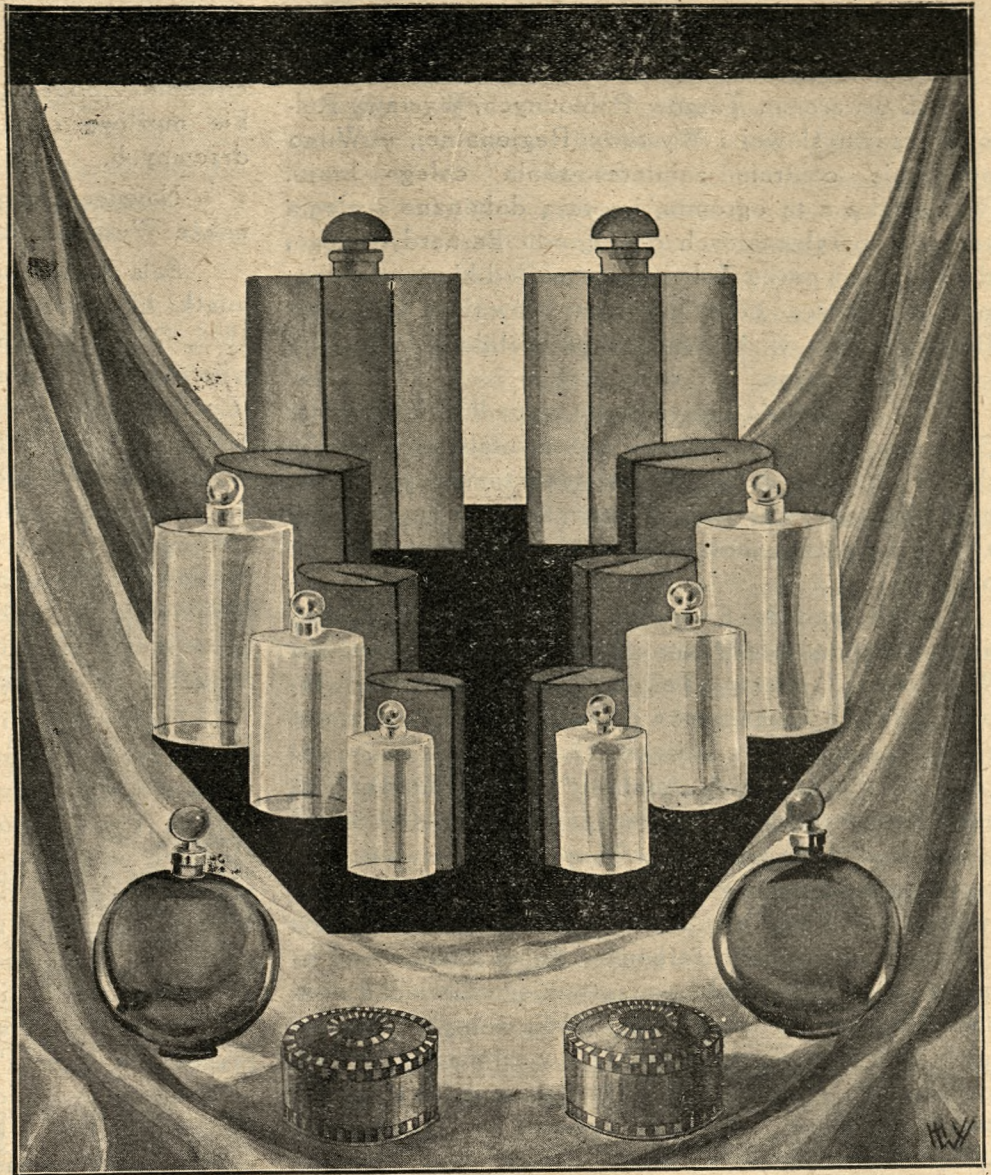
Dla pogłębienia lub rozszerzenia perspektywy w płytkiej witrynie używa się zwierciadeł, umieszczonych tak, ażeby odbijały tylko żadaną część wystawy, bez odzwierciedlania ulicy i jej szczegółów, mącących jedność obrazu. Zapomocą odbicia w lustrze można też uzyskać powtórzenia symetryczne, działające, jak ornament.

Gdy dekorator zamknął już ramę i przestrzeń swej kompozycji, przystępuje do rozmieszczenia eksponatów. W dążeniu do harmonijnego i przejrzystego obrazu, wybierze układ regularnie prawidłowy lub swobodny, zależnie od indywidualnych upodobań i charakteru towaru. Jak już zaznaczyliśmy, będzie unikał przykrego chaosu i stłoczenia.

Układ regularny może być ugrupowaniem symetrycznym, albo polegać na szeregowaniu przedmiotów. Grupa symetryczna, przecięta osią symetrii, rozpada się na identyczne względem siebie części. Typowe są grupy, ułożone na planie kwadratu, koła i tym podobnych figur: rozety



Rys. 4. Projekt wystawy aksamitów



Rys. 5. Przykład ugrupowania symetrycznego

z krawatów, piramidy owoców, cukry na tacach i t. d. Symetryczną może być całość wystawy, albo tylko poszczególne jej człony. Tak, np., ugrupowanie flakonów z perfumami (rys. 5) jest symetryczne. Może ono samo dla siebie zapełnić małą witrynę, albo stanowić tylko ogniwo, powtarzane w szeregu na niskiej, a długiej wystawie. Przedmioty niewielkie o formie stałej, a budowie symetrycznej (zwinęte sztuki płótna, porcelana, flakony, słoiki, blaszanki, paczki z herbatą, puszki, galanterja)—zyskują na układzie symetrycznym i na powtarzaniu ugrupowań w rzędzie po linii prostej lub półokrągłej. Przytem należy się wystrzegać zbyt geometrycznej jednostajności, która byłaby jałową i nudną.

Szereg rytmiczny, jako złożony z powracających równomiernie członów, albo jeszcze swobodniejszy rząd przedmiotów nieidentycznych, lecz tylko podobnych lub podobnie ułożonych—więcej zajmuje od jednostajnego szeregu przedmiotów, absolutnie sobie równych.

(d. c. n)

Helena Wolska.

## TARGI PÓLNOCNE

Z otwarciem Targów Północnych, Wystawy Rolniczo-przemysłowej i Wystawy Regionalnej, — Wilno stało się centrem zainteresowania całego kraju. W związku z tą ogromną imprezą dokonano scelania terenów, przylegających do Ogrodu Bernardyńskiego, dwóch ulic i parku Żeligowskiego. Pod kierownictwem prof. Ruszczyca odrestaurowano również mury po Bernardyńskie w których niepodzielnie króluje Wystawa Regionalna.

To też całość Trójwystawy wypadła imponująco. Starannie pomyślane kioski, szereg ułatwień dla zwiedzających, oraz dekoracje kwiatowe miejscowych tow. ogrodniczych wzbudzają podziw, zważywszy, że Targi zostały zorganizowane w przeciągu niecałych czterech miesięcy.

Przy wejściu na teren wystawy zwraca uwagę aleja pawilonów prywatnych z kioskami „Dziennika Wileńskiego“, poczty, „Tektury“, T-wa „Elektrik“, „Jupiteru“ (która to maszynka do wszystkiego dobrze jest znana czytelnikom „Bluszczu), wytwórni win owocowych „Zakrzemiec“, „Sunlajtu“ (Rinsol Lux!), księgarni Ostrobramskiej i szeregu innych. Wyodrębnia się wyraźnie siedziba elektrowni. Monopole państwowe mieszczą się w osobnym gmachu. W pawilonie głównym orientacja jest nieco utrudniona ogromną ilością kiosków i różnaitością branż:—ceramika, dreny, dachówka, olejarnia wileńska, wyroby warszawskiego Gerlacha, blacha cynkowa, „Wileńska przędzalnia wełny“, „Elektrolux“ i cały szereg innych wyrobów, z kilimami łowickimi włącznie,—zajmują mniejsze, lub większe, starannie przybrane kioski. Atrakcją wystawy są czekające na opinie rzeczoznawców dwa wynalazki inż. Nielepki: jeden—mający na celu zużytkowanie sił morskich i regulujący w miarę potrzeby ruch fal, drugi—nowy system wialni. Nie brak również czeskich, szwedzkich i niemieckich sprzedawców. Największe powodzenie ma małe, nader nieskomplikowany przyrządek do ostrzenia najbardziej tępych ostrz i krający szkło z ogromną łatwością. Z eksponatów, zasługujących na baczną uwagę, należy również wymienić farbę ogniotrwałą „Fenix“, wyrobu firmy „Zagożdżon“. Pomalowane nią drzewo, nawet polane benzyną, nie ulega ogniowi. Wynalazek ten poddawany był już próbom i w najbliższym czasie przypuszczalnie zwróci uwagę szerokich sfer społeczeństwa.

Mówiąc o Wystawie Rolniczej, niepodobna pominąć księgarni Macierzy Szkolnej, mieszczącej się przy wejściu do pawilonu rolniczego. Liczne wykresy dają pojęcie o pracy oświatowej szkół, czytelnicy i Domów Ludowych, a szereg dzieł, dotyczących hodowli i rolnictwa, ma ogromne powodzenie u zwiedzających pawilon. Na specjalne podkreślenie zasługuje w nim wszechstronnie reprezentowane doświadczalnictwo Bieniakoni, Sarn i Wilna. Należy również

wspomnieć o pawilonie Leśnictwa, do którego droga prowadzi między licznymi szkółkami leśnymi i owocowymi. Zbudowany z białej brzozy, zawiera wszelkie możliwe okazy naszej flory leśnej i wyrobów drzewnych.

Najwięcej uznania, a nawet zachwytu, budzi jednakże Wystawa Regionalna.

Sala honorowa, gromadząca najcenniejsze pamiątki historyczne, sala druków i wydawnictw od roku 1525, Dyrekcja Kolei Wileńskiej, ze specjalnym pawilonikiem jedwabnictwa, które bardzo pomyślnie się rozwija i cały szereg innych—świadczą o ogromnym pietyzmie organizacyjnym. Do imponującego wrażenia przyczyniają się niewątpliwie bogate dekoracje kwiatowe, a nadewszystko działy przemysłu ludowego i etnografji. Jest to owoc niestrudzonej pracy p. profesorowej Ehrenkreutzowej (docenta U. S. B), p. Mohlówny, a także p. Heleny Sokołowskiej, której uprzejmości zawdzięczam możliwość szczegółowego rozejrzenia się w eksponatach.

Przed oczami widza roztaczają one dokładny obraz życia i twórczości tego ludu. Szereg ciekawych w swojej prymitywności narzędzi gospodarczych, modele wsi i zagród, najdrobniejsze szczegóły i odchylenia w stroju sąsiadujących ze sobą powiatów, a także Polesia i Białorusi—pozwalają wczuć się dokładnie w subtelne różnice psychologiczne. Oto „dusze-gubka“ z Trockiego jeziora (łódź drażona), prymitywne sochy, widły i żarna, wznuszająca „chodulka“, (przyrząd, pomagający w chodzeniu małemu dziecku), przepiękne „pajaki“ ze słomy, garnki, miseczki barwne i surowe w kolorze, a nadewszystko—tkaniny! Poczucie koloru i kompozycji ludu wileńskiego przechodzi nasze normalne, inteligentne, pojęcie. Kobiety zajmują się tkactwem pobocznie w wolnych od gospodarstwa chwilach; tkanin tych nie używają już zupełnie w dziedzinie stroju (niestety!), tylko na podściółki do wozów, na płachty, w których nosi się trawę i t. p. Niejednokrotnie mają szczupły wybór kolorów (resztki)—nie zdarza im się jednakże popełnienie jakiegoś artystycznego lapsusu. W tem miejscu należy podkreślić subtelność i dobry smak naszych instruktorek tkackich, które ograniczają się do propagowania szerokiego warsztatu — w niczem nie naruszając kolorytu i kompozycji, pozostających i nadal żywym uzewnętrznieniem ludowej estetyki. Tkaniny te (mówiąc nawiasem — zdobiące prawie wszystkie sale Wystawy Regionalnej) znajdują u nas coraz większe zastosowanie w pokrywaniu mebli, jako makatki, serwety na stół i t. p. Neutralne, spokojne w kolorystyce, dają życie innym sprzętom i nie wymagają prze-meblowywania się „na ludowo“. Nawet nieszczególnie pod względem estetycznym, zużyte meble nabierają szlachetnego wyrazu, o ile się je obje, lub przykryje taką dyskretną (zrzadka przechodzącą w słoneczno-pomarańczowe tony) płachtą, a niska cena (3—7 zł.),

przyczyni się niewątpliwie do ich rozpowszechnienia. Dla informacji, dodam, że zamawiać je można w Wilnie (Zamkowa 6) w Tow. Popierania Przemysłu Ludowego.

Wracając do spraw ogólnie wystawowych, należy zaznaczyć, że zarówno pokaz hodowlany (6—9 września), jak wyniki komisji sędziowskiej (przyznanie nagród) będą w najbliższych numerach pisma podane. L. J.

## JABŁKA PIEGOWATE

Powszechnie znanym objawem są gorzkie w smaku, żółto lub brązowo zabarwione centki podskórne w jabłkach. Nazywamy je piegami.

Mylnem jest mniemanie, jakoby piegi były wywołane przez działanie grzybków pasożytniczych, jak np. czarne plamy na owocach i liściach, które powstają pod działaniem grzybka *Fusicladium*. Sam fakt, że tworzą się one pod naskórkiem, dowodzi, iż pochodzenie ich jest fizjologiczne, a wykrycie śladów grzybka na powierzchni naskórka miejsc chorych bynajmniej tego twierdzenia nie obala, ponieważ są to zwykle tylko grzybki pleśniowe.

Powstawanie piegów odbywa się w ten sposób, że na owocach tworzą się centki od 1 do 5 mm. średnicy, a do 10 cm. głęboko pod nimi tkanka żółknie lub brunatnieje. Najczęściej objawy te występują dopiero po zdjęciu jabłek z drzewa. Plamy, widoczne poprzez skórkę i nieco zagłębione, nadają owocom przykry, gorzki smak, i pozbawiają je wartości handlowej.

Piegi pojawiają się najprzód pojedynczo, wkrótce jednak ilość ich wzrasta i nieraz pokrywają całkowicie jedną połowę owocu, podczas gdy druga połowa bywa od nich zupełnie wolna. Szkody dosięgają znacznych rozmiarów, bo niekiedy wszystkie owoce ulegają poplamieniu. Doświadczeni nabywcy poznają jabłka, podlegające piegom, już w początkowym stadium choroby. Predysponowane owoce są zwykle dużych rozmiarów, ale stosunkowo lekkie, o luźnym miąższu, często zaś mają na naskórku plamki o zielonkawym odcieniu tam, gdzie później powstaną pierwsze piegi. Takich „wodnistych“ owoców kupcy unikają, wiedząc, że rychło pokryją się one piegami i zaczną gnić.

Powstawanie piegów trzeba przypisać wzmódnemu parowaniu wilgoci, przy niedostatecznym jej dopływie. Wskutek tego część tkanki więdnie, zasycha i obumiera. Da się to wytłumaczyć w sposób następujący: tkanka roślinna zawsze wyparowuje pewną ilość wody. Dotyczy to również owoców, zarówno w okresie, gdy znajdują się jeszcze na drzewie, jak również po zebraniu. W pierwszym okresie stały wpływ soków, doprowadzanych przez korzenie, uzupełnia powstałe braki i należycie odżywia całą tkankę; ale po zerwaniu owoce tylko parują, a dopływ wody

ustaje zupełnie. Więc niektóre odmiany chronią się przed nadmiernymi stratami wody, wydzielając tłusty nalot woskowy, który hamuje parowanie. Inne posiadają tę zdolność w stopniu znacznie mniejszym, tracą dużo wilgoci, tkanka silniejsza odbiera ją sąsiedniej, słabszej, i komórki wyschnięte zamierają. Do tego przyczynia się też nadmierne stężenie kwasów, zawartych w soku owocowym. Stężenie to powstaje wskutek pozbawienia tkanki wilgoci i dochodzi do takiego stopnia, że staje się dla komórki zabójcze. Zawarte w komórkach ziarenka (jądra) protoplazmy zamierają i pod wpływem tlenu przybierają barwę brunatną. Objawom tym najprzód podlegają tkanki zewnętrzne, najuboższe w zasoby wilgoci, później obumieranie przenosi się na tkanki, głębiej położone, i tem można wyjaśnić, że piegi są w stadium początkowym płytkie, później zas przenikają coraz głębiej.

Na podstawie tych wyjaśnień można teraz zrozumieć, dlaczego jedne odmiany jabłek podlegają łatwiej piegom, podczas gdy inne mniej są na to narażone, albo okazują się zupełnie odporne. Więc odmiany o cienkiej, suchej, albo szorstkiej skórcie, i o miąższu wodnistym, luźnym, ustępującym łatwo pod naciskiem palca, pierwsze padają ofiarą piegów. Zupełnie tak samo, jak panie o pięknej, białej, delikatnej cerze dostają najłatwiej piegów pod wpływem promieni słonecznych. Na potwierdzenie tej teorii (odnośnie jabłek, nie pań), udało się ustalić nawet wykaz odmian, specjalnie podatnych na piegowacenie, i odmian odpornych. Podaję poniżej najbardziej rozpowszechnione:

*Odmiiany, silnie podlegające piegowaceniu:* Reneta Harberta, Pepina Ribstona, Reneta kaselska.

*Odmiiany, mniej skłonne, lecz podlegające piegowaceniu:* Gołabek czerwony zimowy, Kalwila aderslebeńska, Rambour paryski, Kantówka gdańska, Reneta blenhajmska, Piękne z Boskoop, Cox d'orange, Sztetyna zielona, Lord Suffield, Reneta Baumana, Kardynalskie białe, Cellini.

*Rzadko podlegające piegom:* Parmena zimowa, Reneta orleańska, Boikena, Piękne z Pontoise, Biała kalwila zimowa, Charłamówka, Reneta muszkatawa, Bellefleur żółty, Fieshers Erstling, Sztetyna czerwona.

*Zupełnie odporne:* Grafsztyn czerwony, Książęce, Reneta ananasowa, Aport, Piękne z Nordhausen.

Z wyliczonych, i innych odmian, pierwsze padają ofiarą piegów owoce najdorodniejsze. Zauważono też, że jabłka, wyrastające na obwodzie korony, są daleko odporniejsze, niż z wnętrza. Owoce z drzew młodych łatwiej piegowacieją, niż ze starych. Silniej chorują jabłka z drzew o bujnym przyroście, niż z rozwijających się słabo. W lata chłodne, dżdżyste, owoce łatwiej podlegają piegom, niż w lata słoneczne, suche. Sprzyja powstawaniu piegów silne cięcie drzew, zwłaszcza zaś cięcie letnie (karły), oraz obfite polewanie i zasilanie sadów. Szczególnie dało się to za-

uważyć przy zasilaniu drzew nawozami azotowymi, i w porze, gdy owoce już były zawiązane. W przewiewnych, ciemnych, niezbyt suchych piwnicach, jabłka trzymają się nieźle; natomiast, przeniesione do suchego mieszkania, bardzo szybko dostają piegów.

Z powyższych spostrzeżeń wynikają następujące środki zapobiegawcze:

1. Przeszczepiać drzewa, których owoce stale podlegają piegom, odmianami odpornymi.

2. Korony odmian, podlegających piegowaceniu, prześwietlać w ten sposób, żeby owoce zawiązywały się nazewnątrz korony i dzięki temu były wystawione na działanie słońca i powietrza.

3. Unikać zbyt energicznego cięcia takich drzew, zaniechać uszczykiwania w ciągu lata, polewania i zasilania drzew nawozami azotowymi. Nie przerywać owoców.

4. Owoce zdejmować z drzew dość wcześnie.

5. Przechowywać owoce w piwnicach ciemnych, przewiewnych, niezbyt suchych. Unikać dotykania i poruszania owoców. Spożywać je wkrótce po wyniesieniu z piwnicy.

6. Owoce, przechowywane w pomieszczeniach suchych, owijać pojedynczo w bibułkę angielską i układać w skrzynkach, wypełnionych bezwonnym, suchym miałem torfowym.

Stan. Schönfeld.

## SUSZONE JARZYNY I SUSZONE OWOCE

(uwadze wsi i miasta)

Każda pani domu, zarówno mieszkająca w wielkim czy małym mieście, jak i właścicielka małego folwarku, lub dużego majątku—wie doskonale, jak niesłychanie kłopotliwym jest przechowywanie warzyw przez zimę.

W majątku dołuje się je i, po otworzeniu dołów na wiosnę, odkrywa się, na przykład, kupę gnoju, zamiast starannie ułożonych jesienią warzyw, lub, w najlepszym razie, przebrawszy zawartość dołów i odrzuciwszy mniej więcej połowę — musi się sprzedać natychmiast całą pozostałą ilość, inaczej bowiem zepsuje się; — uzyskujemy więc cenę przeważnie minimalną, bo w tym samym czasie wszyscy otwierają doły i rzucają swój towar na rynek.

Tak dzieje się na wsi. W mieście, natomiast, jarzyny, przechowywane w piwnicach, u tych, którzy na zimę robią zapasy, gniją i są w połowie wyrzucone na śmietnik; ci zaś którzy kupują towar u jarzyniarek, przepłacają zań i otrzymują minimalny dobór warzyw: marchew, pietruszkę, kawałek kapusty, seler (te ostatnie—nadzwyczaj intensywne w zapachu i smaku, konieczne wprost do każdej zupy, sosu i salaty — są bardzo drogie).

Sumując, dochodzimy do wniosku, że zarówno producent, jak i konsument nieświeżymi robią interesy na przechowywaniu, jak i na używaniu przez zimę świeżych warzyw.

Jest natomiast świetne wyjście, godne najgorętszego polecenia dla obu stron, i dla obu stron—wytwórcy i konsumenta—bardzo wygodne: suszone warzywa i suszone owoce. Więc dla producenta susz, dobrze spreparowany, daje się świetnie przechowywać, łatwo przewozić, bo jest lekki. Konsument, kupiwszy susz i namoczywszy go dnia poprzedniego przed użyciem, powiedzmy więc—codziennie na noc, otrzymuje mieszanekę świetną, złożoną z kilkunastu gatunków warzyw, — od cebuli począwszy, skończywszy na kalafiorze—wonną i niedającą się nawet porównać z ową nadpsutą marchwią i wydeptaną przez zawodową przekupkę kapustą.

Spróbujcie panie raz suszonych warzyw do swoich zup, ryb i przypraw mięsnych, a nigdy już nie użyjecie zimową porą świeżej jarzyny, nie mówiąc już o tem, że nie będziecie robić zbędnych zapasów zimowych.

Każdy zaś właściciel folwarku powinien dążyć do uruchomienia u siebie suszarni, gdyż suszone jarzyny popularyzują się coraz bardziej; jeśliby nawet nie znalazły zbytu na własnym rynku,—każdą ilość wyprodukowaną nabędą u nas państwa skandynawskie, nie posiadające prawie wcale terenów pod warzywnictwo.

To samo, co powiedzieliśmy o warzywach, da się zastosować do kartofli—płatki kartoflane—łatwe do wywozu, opakowania i przechowania po odparowaniu zawartości wody, czyli około dziewięćdziesięciu pięciu procent ciężaru, który to procent odzyskujemy po namoczeniu suszu przez dwanaście godzin w wodzie.

Co się tyczy suszonych owoców — znajdują one olbrzymie zastosowanie w naszej kuchni na kompoty, zupy; szarlotki z suszonych jabłek przedstawiają olbrzymią różnorodność i znów nieporównanie taniej się kalkulują, niż świeże owoce, oraz konserwy, dostępne jedynie dla bardzo zamożnych ludzi.

Nie potrzebują dodawać, jak ważną rolę odgrywają wyżej wymienione produkty w systemie naszego odżywiania, i jak wiele psuje się choćby jabłek, przechowywanych nawet najstaranniej przez zawodowców, czem się tłumaczą wysokie ceny tego owocu na naszym rynku, lub poprostu zupełny jego brak.

Wszakże zimą wszystkie sklepy częstują nas przeważnie jabłkami tyrolskimi, kalifornijskimi i t. d.

Zorganizowanie i prowadzenie suszarni w naszych większych i mniejszych folwarkach—to praca, specjalnie wołająca o rękę kobiet: nie jest bowiem zbyt ciężka, wymaga dokładności, którą kobiety potrafią w swoją pracę włożyć, przedstawia nowe pole zbytu i, powiedziałbym—oszczędności narodowej bo ratujemy duże ilości surowca od zagłady.

W państwach, prowadzących swe gospodarstwa wzorowo, choćby w sąsiednich Czechach, dawno już uprzemysłowiono gospodarstwa rolne, wiedząc, jak olbrzymią rolę odgrywają przetwory płodów olnych i ziemnych.

U nas dotąd niebardzo słychać o uprzemysłowianiu pól naszych i sadów, ale bo też gospodarki naszej za wzór nikomu stawiać nie należy.

W dzisiejszem przyspieszonym tempie życia, mieszkańiec miasta szuka ułatwień, uproszczających mu trudne warunki życia; niechże mieszkańcy wsi pomogą swym współobywatelom — podając gotowe, łatwe do przyswojenia i wyborowe produkty, a sami tym sposobem zbędą korzystnie swój towar, marniejący w postaci świeżej.

Jest to doprawdy interes, zarówno moralnie, jak i materialnie, dla obu stron korzystny.

Dlatego obu stronom polecamy jaknajgoręcej rozważenie go w imię wspólnego dobra: — wszakże zadowolony obywatel — to prosperujące państwo.

mar.-mor.

## FILETY Z FLĄDER

Flądry oczyszczone, jak do smażenia, nasolić i ugotować w smaku z włoszczyzny, cebuli i korzeni. Najlepiej gotować flądry w wanience do ryb z ruchomą kratką, gdyż bardzo łatwo się kruszą. Gdy ryby ugotowane, kłaść je na desce, ostrożnie zdejmować skórę i odjąć z kości cztery filety, starając się ich nie połamać. Metalowy półmisek posmarować masłem, układać na nim filety, przekładając je pomidorami, pokrajanymi w plastry. Posypać grubo tartą bułeczką, siekany koperkiem, zasmażoną w maśle cebulą, na koniec ostrym serem. Położyć na wierzch kawałeczki masła i wsunąć w gorący piec na 4—5 minut, uważając, aby się bułeczka zrumieniła, lecz ryba nie wyschła. Po wyjęciu z pieca obłożyć półmisek ćwiartkami cytryny, wzdłuż krajanej, i kartoflami z wody. Jest to znacznie lepsze podanie fląder od zwykłego ich smażenia, — jest nieco kłopotliwsze do wykonania, lecz dużo wygodniejsze do jedzenia. Można też filety z fląder wycinać na surowo, po uprzednim zdjęciu skóry, operacja ta jednak wymaga dużej zręczności i umiejętności. Na surowo zdjęte filety soli się, naciska cytryną i wolniutko przysmaża na maśle, nie rumieniąc ich wcale, poczem dalej postępuje, jak wyżej.

## ŚLEDZIE SMAŻONE I MARYNOWANE

Świeże śledzie są wyborne, usmażone na maśle szmalcu, fryturze lub oliwie. Nawet smażąc je na maśle, oliwy należy dodawać koniecznie, gdyż ryba ta musi być doskonale przesmażona, a na czystym maśle łatwo się przypala. Śledzie po oczyszczeniu należy nasolić mocno, potrzymać nasolone godzin parę. Do smażenia wybierać mleczaiki, gdyż właśnie mlecza śledzi są wyborne. Te mlecza po oczyszczeniu i nasoleniu włożyć napowrót do śledzi, aby nie wyschły. Utarzane w bułeczce tartej z mąką i usmażone na rumiano śledzie podaje się z cytryną, pokrajaną wzdłuż na ćwiartki. Pozatem można do nich podać kartofle z wody, lub smażone. Chcąc mieć śledzie marynowane, a jest to bodaj że najsmaczniejszy sposób ich przyrządzania, należy śledzie po usmażeniu dobrze ostudzić i przełożyć do salaterki. Ugotować niezbyt mocny ocet z pieprzem, zielem, listkiem i cebulą, krajaną w plasterki; zimnym tym octem zalać śledzie, przycisnąć talerzem, aby ocet je dobrze pokrywał. Po dwudziestu czterech godzinach są już dobre do jedzenia.

## SOK ŻÓRAWINOWY

Panie, które latem dla jakichbądź przyczyn nie zaopatrzyły się w syropy owocowe, szczególnie w kwasowy sok porzeczkowy, mogą zimą zastąpić je sokiem żórawinowym, smacznym, orzeźwiającym i szczególnie zdrowym dla gorączkujących, lub rekonwalescentów. Należy go robić w środku zimy, kiedy żórawiny dobrze są przemarznięte. Jagody te nalać wodą, aby je tylko objęło; gotować tak długo, aż wszystkie popękają, pognieść je mocno drewnianą łyżką, przeceścić sok przez flanelowy worek. Zmierzyć, na każdy litr wziąć trzy ćwierci kilo cukru, gdyż nie powinien być zbyt słodki; kto jednak woli, może brać całe kilo. Sok wlać w miedniczkę, potem wsypać cukier, aby przy gotowaniu na dnie miedniczki się nie przypalił. Ponieważ żórawiny nie mają żadnego aromatu, można

## Przepisy Gospodarskie



### PIECZEŃ Z DZIKA

Ćwiartkę dzika (zawsze tylko z bardzo młodej sztuki, gdyż starsze są twarde i mają nieprzyjemny posmak, z trudnością dający się usunąć) po zdjęciu skóry nasolić na godzin kilka, poczem zalać litrem octu przegotowanego z korzeniami (pieprzem, zielem, imbirem, listkiem i goździkami) i paru cebulami, pokrajanymi w talarki. Trzymać w occie od pięciu do siedmiu dni, często przewracając. Po wyjęciu, zbić mocno, naszpikować wędzoną słoninką i piec, narazie smarując masłem lub szmalcem, potem podlewać octem, w którym się mięso marynowało. Gdy już mięso miękkie, posypać tartym chlebem razowym, zmieszonym z cytrynową skórką, otartą z całej cytryny. Zrumienić jeszcze ten chleb i, pokrajawszy w ładne plastry, wydać. Do tego — wszelkie kompoty owocowe i marynowane w occie sałaty.

### FARBY DO MALOWANIA NA TKANINACH I SKÓRZE

Batiki, Liwor i obsypki, wzory oraz farby i WSZELKIE ARTYKUŁY ARTYSTYCZNO-MALARSKIE w wielkim wyborze i po cenach konkurencyjnych poleca

### JULJAN BUROF

Nowy Świat 47 Warszawa, Tel. 36-44

Wysyłka towarów za zaliczeniem.

włożyć do soku kawałek wanilii, lub wlać parę kropel olejku migdałowego. Zagotować na gwałtownym ogniu, zszumować, odstawić na brzeg blachy, lub przykręcić płomień, jeśli gotujemy na gazie; niech tak wolno się gotuje około dwudziestu minut jeszcze. Gdy syrop zupełnie klarowny, dodać na każdy litr pół pastylki benzoesu, rozpuszczonej w łyżce gotowanej wody, i odstawić. Gdy zupełnie wystygnie, pozlewać do butelek, zakorkować i osmolić korki.

Pani Elżbieta.



## DOBRE RADY

Najpewniejszym sposobem uniknięcia deficytu jest ułożenie na cały rok budżetu domowego i ściśle stosowanie się do niego. Każdy wydatek powinien być wpisany pod odpowiednią rubrykę; wtedy dopiero można wiedzieć, co nas kosztowało utrzymanie domu i na czem moglibyśmy porobić pewne oszczędności. Zadaniem gospodyni domu jest, aby suma, którą rozporządza, nietylko wystarczyła, ale dała choć drobną oszczędność.

\* \* \*

W domu nic nie powinno się zmarnować: każdy skrawek papieru musi być złożony, każdy sznureczek zwinięty i schowany w przeznaczone miejsce. Kawałki jedwabiu trzeba siepać na lekką, bardzo ciepłą wate; płóciennę—chować na bandażę i do opatrunków; wełniane i bawełniane — krajać drobnutko i napychać niemi nietylko poduszki na kanapę, ale i pod głowę dla biedaków. Pokrajany drobno papier można zużytkować w taki sam sposób. Czyste półarkusiki papieru od listów trzeba oddzierać: przydadzą się zawsze, choćby do rysowania dla dzieci.

### „WINA OWOCOWE“

KSIĄŻECZKA TA UCZY WYROBU WIN SPOSOBEM DOMOWYM Z OWOCÓW I JAGÓD

Cena 1 zł. 50 gr.  
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.  
Za zaliczeniem nie wysyłamy.

### LABORATORJUM HIGJENICZNYCH KOSMETYKÓW

podług przepisów **Dr. J. ŚWITALSKIEJ**

Płyn na wzmocnienie włosów. Jajeczka do mycia włosów. Galaretki na łupież. „Mój krem“ przeciw zmarszczkom „Mój puder“, Krem cytrynowy. Krem pomarańczowy. Galaretki na rozszerzenie porów i łojotok. Perełki do pielęgnacji twarzy i biustu. Maść przeciw odmrożeniom. Mydła cytrynowe, poziomkowe, liljowe i ziołowe. Róże higieniczne. Maski na twarz. Maść na piegi. Krem śmietankowy suchy. Krem orzechowy na opalenie się.

HIGJENICZNE KOSMETYKI — KRUCZA 31, m. 3.

Na prowincję wysyłka za zaliczeniem.

### WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.  
Druk. Zakł. Graf. Tw. Wzd. „BLUSZCZ“ Rymska 8 tel. 244-18.